

Poznaj Świat

4

2013

Cena 10,90 zł (w tym 8% VAT)

MIESIĘCZNIK PODRÓŻNICZO-GEOGRAFICZNY

CHILE • MALTA • JAPONIA • RWANDA • HISZPANIA • WIETNAM • KOLUMBIA • POLSKA • SYRIA

Okiem rebeliantów SYRIA

str. 22

MALTA

Boska reduta

str. 48

RWANDA

Kraj tysiąca zakrętów

str. 62

WIETNAM

Sen o Indochinach

str. 12

ZMARTWYCHWSTANIE WYSPY WIELKANOCNEJ

ISSN 0032-6143 INDEKS 369802



9 770032 614308 04

yeti®



www.yeti.com.pl

KURTKA WAVE

POCZĄTEK NOWEJ FALI



Malta str. 22



Japonia str. 34



Rwanda str. 48

FOTOFORUM Najlepsze zdjęcia naszych Czytelników str. 4

BOOM NA WYSPIE WIELKANOCNEJ str. 12

Rapa Nui jest najbardziej odizolowaną od świata zamieszkaną wyspą. **Małgorzata Jarzembowska**

BOSKA REDUTA str. 22

Malta jest jednym z najpogodniejszych miejsc w Europie, ale słońce to nie jedyne, co ma do zaoferowania turystom.

Sławomir Kozdraś

MAZUREK NA WYNOS str. 32

Felieton **Roberta Mazurka**

GRZECZNIE, SCHLUDNIE I KAWAII str. 34

Japonia to dziwny kraj, w którym toalety śpiewają, zaś w automatach można kupić wszystko, nawet używane majtki. **Anita Demianowicz**

GEOSKOP str. 43

KRAJ TYSIĄCA ZAKRĘTÓW str. 48

Rwanda to kraj tysięcy problemów, ale i tysięcy rozwiązań.

Maciej Jaworski

MIASTO KWITNĄCYCH POMARAŃCZY str. 54

Hiszpańska Sewilla najpiękniej prezentuje się wiosną.

Agata Grendowicz

SEN O INDOCHINACH str. 62

Wietnamskie Hoi An oferuje unikalne zabytki, orientalną atmosferę i... tanie zakłady krawieckie. **Justyna Kucharska**

TURYSTYCZNE ELDORADO str. 70

Kolumbia niesłusznie kojarzy się głównie z zamachami, narkotykami i przemocą. **Anna Książek**

POZNAJ ŚWIAT W DELEGACJI str. 79

Rozmowa z **Jerzym Skoczylasem**

NAVIGATOR str. 80

MOJE CZTERY TRATWY str. 84

Na tratwach przez morza i oceany, bijąc rekordy świata.

Andrzej Urbańczyk

PUCHEROKI I KWIETNA NIEDZIELA str. 94

Małopolskie zwyczajnie wielkanocne. **Ilona Pietrusiewicz**

ŚWIAT W OBIEKTYWIE: SYRIA str. 102

Okiem rebeliantów. **Maciej Moskwa**

Z PERSPEKTYWY str. 108

Gdzie zaczynają i kończą się mapy.

Felieton **Ryszarda Badowskiego**

POZNAJ ŚWIAT OD KUCHNI str. 112

OUTDOOR str. 116

POLSKA, KTÓREJ NIE MA str. 120



NA OKŁADCE:
Mieszkaniec Wyspy
Wielkanocnej
w tradycyjnym stroju.

Szymon Parulski

USA

Prawie jak rondo

Kanion rzeki Kolorado w Arizonie – jedyne miejsce, gdzie zakręca ona o 270 stopni. Kolorado ma długość 2330 kilometrów i przepływa przez stany: Kolorado, Utah, Arizona, Nevada, Kalifornia oraz przez terytorium Meksyku.





Dawid Martynowski

POLSKA

Tylko stąd nie widać Pałacu Kultury

Pierwszym warszawskim wieżowcem był budynek naśladowujący średniowieczną wieżę zamkową, zbudowany w latach 1906–1908 dla szwedzkiego Towarzystwa Akcyjnego Telefonów „Cedergren” (wys. 51 m). W latach 1952-1955 w samym centrum zniszczonego miasta powstał, do dziś najwyższy, Pałac Kultury i Nauki (237 m), skąd wykonano to zdjęcie. Obecnie w Warszawie jest 39 wieżowców mających powyżej 70 m wysokości, a ponad 50 kolejnych powstaje. Na zdjęciu nocna panorama centrum Warszawy, od lewej budynki: „Złote Tarasy”, apartamentowiec „Złota 44” (w budowie, ma mierzyć 192 m), Hotel InterContinental (164 m) oraz Warszawskie Centrum Finansowe (165 m).



Zdjęcie pochodzi z portalu placeknow.com



Zofia Przybylska

ETIOPIA

Karo w kwiatkach

Dziewczyna z plemienia Karo w dolinie Omo. Przedstawiciele tego ludu są na ogół bardzo wysocy i szczupli. Ciało zdobią wyszukanyymi malowidłami i dekoracjami. Kobieta na zdjęciu ubrana jest tradycyjnie, w kozią skórę. Kwiatek w brodzie umieściła w dziurce, którą zrobiła kolcem akacji afrykańskiej.



© MARK TATCHELL (WIELKA BRYTANIA), „Gdzie szybują petrele”

Mark Tatchell (Wielka Brytania)

GEORGIA POŁUDNIOWA

Gdzie szybują petrele

KATEGORIA
ZWIERZĘTA W SWOIM ŚRODOWISKU
WYRÓŻNIENIE

Gdy statek, którym płynął Mark, kierował się na południe, pojawiły się ogromne, płaskie góry lodowe, dryfujące od Morza Weddella. Między nimi szybowały petrele śnieżne. Te zwinne, antarktyczne ptaki morskie unikają otwartego morza. Wolą spędzać czas, odpoczywając na krze lodowej albo fruwać wokół dryfującego lodu, karmiąc się kryłem i drobnymi rybkami. Mark starał się uchwycić widok, który „łączyłby surową potęgę kipiącego morza i elegancję ptaków w locie”.

ZDJĘCIE I TEKST POCHODZĄ Z WYSTAWY FOTOGRAFIA DZIKIEJ PRZYRODY 2012, KTÓREJ PATRONEM MEDIALNYM JEST MIESIĘCZNIK POZNAJ ŚWIAT.
W DNIACH OD 6 KWIETNIA DO 28 KWIETNIA 2013 R. WYSTAWA JEST PREZENTOWANA W GALERII BIELSKIEJ BWA PRZY ULICY 3 MAJA 11 W BIELSKU-BIAŁEJ.
WWW.FOTOGRAFIADZIKIEJPRZYRODY.PL

Agata Wereszczako

GRECJA

Ośmiornice z pumeksem w tle

Ośmiornice suszą się na sznurku, by później wylądować na talerzu turysty zwiedzającego grecką wysepkę Nisyros. Oprócz spróbowania suszonego głowonoga można tam odwiedzić czynny wulkan, a także kupić... komplet wyrobów z pumeksu. Widoczna w tle zdjęcia mała, niezamieszkała wyspa zbudowana jest w całości właśnie z tego materiału. Mieszkańcy Nisyros, a jest ich zaledwie kilkuset, żyją ze sprzedaży wycinanych z białej wyspy kawałków skały.



Prześlij zdjęcie!

Zachęcamy do nadsyłania zdjęć na adres: redakcja@poznaj-swiat.pl.
W tytule maila należy wpisać „Fotoforum”, a w treści imię i nazwisko autora oraz opis zdjęcia.
Minimalny rozmiar nadsyłanych fotografii to 2 MB.



**THE
NORTH
FACE**



JAMES PEARSON
DOLOMITES, ITALY

CASIMIR 36

Latitude:
NORTH 46° 37' 45"

Longitude:
EAST 12° 15' 22"

Elevation:
2330 M

Photo:
RIKY FELDERER



BETTER FIT. LONGER DAYS

OPTIFIT™

THE NEW STANDARD IN BACKPACK SUSPENSION DESIGN

Optifit™ delivers an unrivaled combination of load control and maximised ventilation with a fully adjustable backpanel and hipbelt design. Optifit™ dramatically improves weight distribution and airflow. The result: a perfect fit and cooler carry.

thenorthface.com

Małgorzata Jarzembowska

BOOM

NA WYSPIE WIELKANOCNEJ

Kiedy przybyłam na wyspę, zaskoczyła mnie jej energia. Wyobrażałam sobie, że trafiam w miejsce spokojne, nawet letargiczne: mało zaludnione, wietrzne, bezdrzewne, z kamiennymi posągami *moai* zastygłymi w czasie. Nic bardziej mylnego.





FOT. MALGORZATA JARZEMOWSKA

CABALGATA, CZYLI KONNA KAWALKADA

Przejażdżki konne są na wyspie bardzo popularne. W ten sposób można dotrzeć na przykład na najwyższy szczyt Terevaka (507 m n.p.m.)



w celu podtrzymania i rozwijania polinezyjskiej tradycji. To mieszanka karnawału, parad, sportu, prezentacji teatralnych i tanecznych.

Symbolem narastającego tempa życia stał się samochód. Na niewielkiej, trójkątnej wyspie o wymiarach 24x18x16 kilometrów mało kto nie ma auta, wszechobecne są też taksówki.

TRAGEDIA RAPA NUI

Ten skrawek lądu jest jednym z najbardziej odosobnionych miejsc na kuli ziemskiej. Położona 3800 kilometrów od wybrzeża Chile, wynurza się samotnie pośrodku bezkresnego południowego Pacyfiku.

Aby lepiej zrozumieć mentalność Rapanujczyków (Rapa Nui to polinezyjska nazwa Wyspy Wielkanocnej), trzeba się trochę przyrzuć ich historii. Są głównie Polinezyjczykami, z dużą domieszką krwi południowoamerykańskiej (wyspa od 1888 roku należy do Chile), a także europejskiej. W swych dziejach doświadczyli wlotów, ale też licznych tragedii. Po okresie świetności, kiedy to budowali rytualne platformy *ahu* i wielkie posągi *moai*, nadeszły

Moje pierwsze wrażenie to tętniące życiem lotnisko. Ruch i gwar. Miejscowi witają przylatujących z chilijskiego Santiago oraz żegnają odlatujących do Papeete na Tahiti. Dają prezenty i zawieszają naszyjniki *lei* z kwiatów i muszelek.

Niezwykłą eksplozją energii, tańca i muzyki jest coroczny festiwal Tapati, odbywający się na początku lutego. Został wprowadzony

czasy wojen plemiennych, głodu, wymierania na epidemię ospy oraz porwań do niewolniczej pracy przy pozyskiwaniu guana w Peru.

W 1877 roku żyło tu tylko 111 osób. Gdy liczbę tę porówna się z 10 tysiącami tubylców zasiedlających wyspę dwieście lat wcześniej, dostrzega się ogrom tragedii, jaka ją spotkała. Dzisiaj na jej terenie żyją zaledwie cztery osoby czystej krwi rapanui.

Również w XX wieku miejscowi nie uniknęli prześladowań. Brytyjska kompania hodowli owiec, która dzierżawiła wyspę, pozwalała Rapanujczykom mieszkać tylko w obrębie jedynej osady, Hanga Roa. Pracowali za bezcen, nie posiadali praw wyborczych i – co było dla nich najgorsze – nie mogli opuszczać wyspy. Uzasadniano to zagrożeniem rozprzestrzeniania trądu. Opowiadano mi, jak na budowanych po kryjomu tratwach ludzie uciekali stąd na Polinezję Francuską. Wielu nigdy tam nie dotarło. Inni opowiadali, jak jeszcze w latach 1960. zamieszkiwali całymi rodzinami w nadmorskich jaskiniach.

Przełom nastąpił w 1967 roku, kiedy zbudowano lotnisko Mataveru. Wraz z pojawieniem się turystów, wymianą handlową i pozwoleniem na wyjazdy, w krótkim czasie poprawił się byt mieszkańców. Ale czas prawdziwego boomu to lata 1990. Obecnie przebywa tu 2 tysiące rdzennych mieszkańców i 3 tysiące przyjezdnych (Chilijczyków, obywateli innych państw, w tym turystów).

WSZYSCY TAŃCZĄ I STRUGAJĄ

Mieszkańcy Wyspy Wielkanocnej kultywują swoje polinezyjskie tradycje rodzinne. Często

odwiedzają się, uczują, rozmawiają. Jak rozległe są te więzi, widać na rodzinnych uroczystościach. Byłam na weselu, na które zaproszonych było tysiąc osób. To połowa rodowitych mieszkańców wyspy!

Jednym z przejawów zamilowania do tradycji jest zapał twórczy. Wydaje się, że każdy tutaj jest artystycznie utalentowany. Mężczyźni rzeźbią drewniane i kamienne posążki *moai*, rytualne wiosła *ao*, tabliczki *rongo-rongo* (nierozszyfrowanego dotąd pisma obrazkowego) i mnóstwo innych przedmiotów. Pamiętam, że kiedy przyszedł mój czas na zakupy, skiero-



WIELKANOCNE SUWENIRY

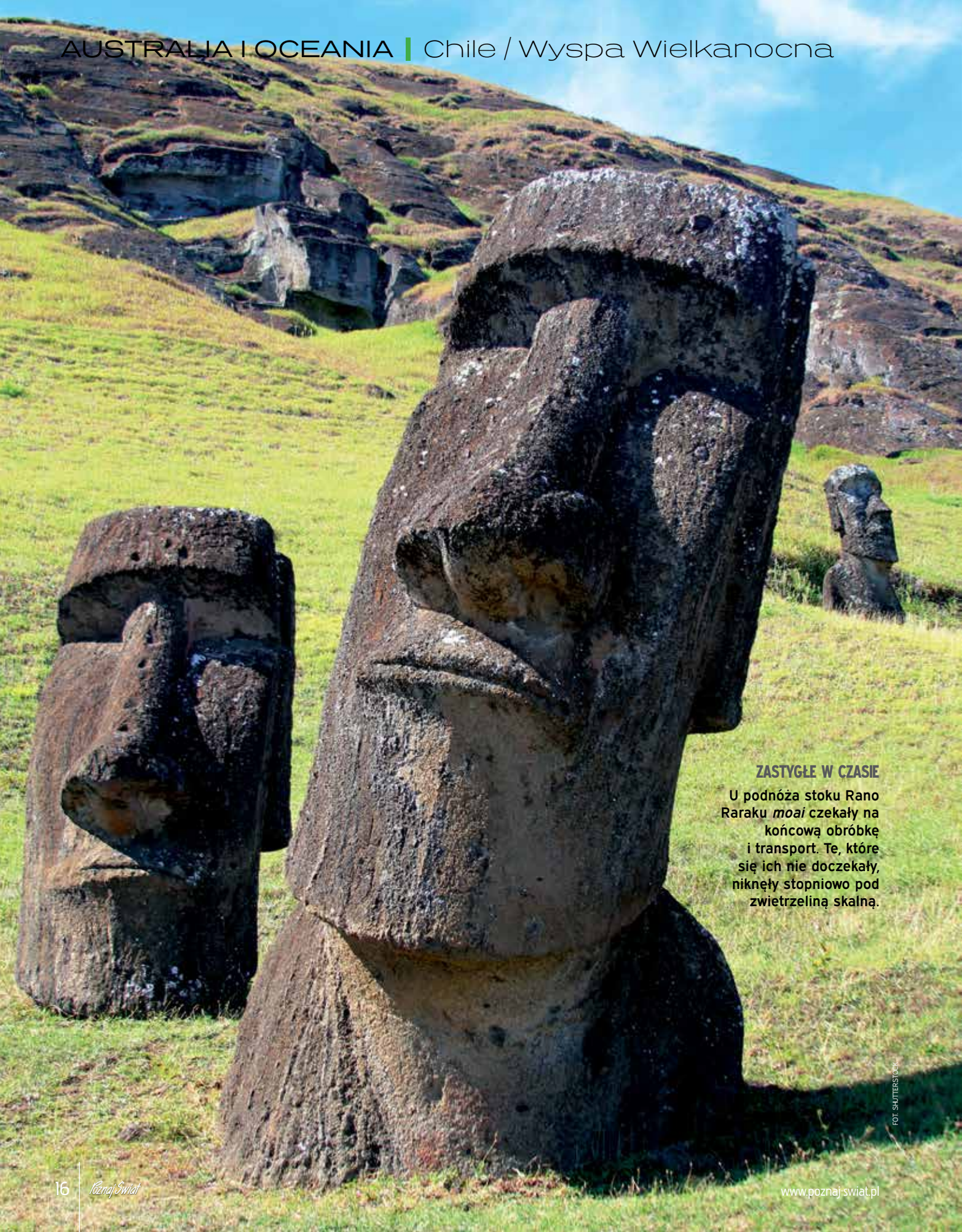
Sklepy z pamiątkami są tu wszechobecne. Każdy turysta znajdzie w nich coś dla siebie, od bogatego wyboru wyrobów rękodzieła artystycznego, po książki o historii Rapa Nui. Ciekawe, czy są też pisanki?

wano mnie do... lokalnej ciupy! Nawet w karczerze rzeźbili! Nabyłam pamiątki za pół ceny.

Kobiety zajmują się wyrobem biżuterii z naturalnych materiałów oraz ozdób z piór. Malują tradycyjne rysunki na *tapa*, sprasowanej korze drzewa morwowego lub chlebowego.

Wielu turystów odwiedza magiczny domek tatuażysty, który wykonuje dzieła najwyższej jakości. Po skończonej pracy Mokomae robi zdjęcie tatuażu, wkładając je do pękatego albumu, który każdy może przewertować, szukając odpowiedniego wzoru.

Kreatywność wyspiarzy uwidacznia się również w umiłowaniu muzyki i tańca. Już w szkole najmłodsze dzieci uczą się tradycyjnych figur, natomiast młodzież i dorośli chętnie tworzą zespoły muzyczno-taneczne. Tujsza muzyka jest energiczna, zachęcająca do



ZASTYGLĘ W CZASIE

U podnóża stoku Rano Raraku *moai* czekały na końcową obróbkę i transport. Te, które się ich nie doczekały, niknęły stopniowo pod zwierzeliną skalną.

FOT. SHUTTERSTOCK



SMAKI NIESKAŻONE CYWILIZACJĄ

Jedną z miłych niespodzianek jest tutejsze jedzenie. Ryby, owoce, warzywa – wszystko smakuje wysmienicie. Niewątpliwie ma na to wpływ odległe położenie wyspy, świeże powietrze, czyste wody Pacyfiku, „ekologiczny” deszcz i „zdrowy”

podrygów. Klub nocny „Topatangi” (co znaczy „Zapomnij o łzach”) oraz dyskoteki „Toroko” i „Piriti” są zawsze pełne.

Przez dwa tygodnie w roku trwa festiwal Tapati (kiedyś był to tydzień – *tapati* w języku rapanui znaczy „tydzień”). Dwie pretendenci do tytułu „Królowej Tapati” oraz ich zespoły współzawodniczą ze sobą w konkurencjach sportowych i artystycznych. Są tam zjazdy *haka pei* – na bananowych saniach z prędkością 80 km/godz., pływanie na trzciniowych tratwach, biegi z kışmi bananów, a także konkursy rysunku, narracji i tańca. Ale to najbardziej popularne Tapati zaczyna się po zachodzie słońca, kiedy jest chłodniej i wszyscy wylegają na ulice. Stroje wkłada się skąpe, raczej „nic niż coś”, składające się głównie z piórek i muszelek. Ciała maluje się naturalnymi barwnikami w geometryczne wzory, zawierające rapanuijską symbolikę. Muzyka i bębny rozbrzmiewają jeszcze długo po północy. Zakończeniem festiwalu jest ukończenie królowej Tapati, która będzie „władac” wyspą przez następny rok.

wiatr. Przygotowanie posiłków jest bardzo proste. Wrzuca się do garnka wypatroszoną rybę, dodaje pomidora, kawałek dyni ze skórką, słodkiego ziemniaka i cebulę i wkrótce najsmaczniejsza na świecie zupa rybna jest gotowa. W hotelu „Cabañas Anariki”, gdzie mieszkałam, wspaniałe posiłki przyrządzały właścicielki, Maria i Olivia. Spędziłyśmy razem wiele wieczorów, gawędząc i zajadając carpaccio z tuńczyka, podprawione oliwką, kaparami, cebulką i sokiem z cytryny.



Miejscowe ananasy są nie tylko uważane za najsmaczniejsze na świecie, ale również bardzo zdrowe, a ich gorliwi smakosze odwiedzają wyspę w styczniu, w czasie zbiorów, aby poddać się ananasowej kuracji. Podobnie jest

I PO ZAWODACH

Saneczkarze *haka pei* odpoczywają po rywalizacji w zjazdach ze stromego wzgórza na bambusowych sankach. To jedna z atrakcji podczas dwutygodniowego festiwalu Tapati.

JAK ONI TAŃCZĄ

Żywa muzyka zachęca do energicznych podrygów. Mimo nocnych chłódów i skąpych strojów, mieszkańcy Rapa Nui lubią bawić się do rana.

z papajami. Soczystymi, pomarańczowymi owocami od „królowej papai” Kere Manu-tomatomy zajadałam się niemal codziennie (wraz z pestkami, które są bardzo zdrowe). Natomiast Lucy z hostelu „Vai Kapua” częstowała mnie największymi awokado, jakie kiedykolwiek widziałam.

Tradycyjne, odświętne pieczenie odbywa się w ziemnych piecach *umu*. Przygotowanie pieca polega na wykopaniu płytkiego dołu i wy-

pełnieniu go drewnem i kamieniami. Po spaleniu drewna, na gorących kamieniach układa się słodkie ziemniaki kamote, maniok, mięso, ryby – zawinięte w liście bananowca albo po prostu w folię aluminiową. Wszystko przykrywa się liśćmi, ziemią, gorącymi kamieniami i pozostawia do powolnego upieczenia. Jedzenie jest smaczne, pachnące i sytne.





GALERIA GIGANTÓW

Fragment Ahu Tongariki,
największej platformy
ceremonialnej
na wyspach Pacyfiku.
Stoi tu 15 posągów *moai*.

WIECZNI RZEźBIARZE

Niegdyś mieszkańcy wyspy rzeźbili gigantyczne posągi w wulkanicznej skale. Dziś ulubionym materiałem miejscowych artystów jest drewno, w dużych ilościach sprowadzane z Tahiti.



FOT. MALGORZATA JARZEMOWSKA

Największe pieczenie w *umu* odbywa się raz do roku, we wrześniu, podczas narodowego święta chilijskiego Fiestas Patrias. Zapraszani są wtedy zarówno mieszkańcy wyspy, jak i turyści. Po paradzie ludzie ciągną na nadmorską łąkę i ustawiają się w kolejkę, aby otrzymać papierowy talerzyk pełen ziemnych smakołyków. Atmosfera jest rodzinna i radosna, a piknikowanie trwa do wieczora.

Fiestas Patrias to dzień niepodległości,

najważniejsze święto w Chile, które celebrowane jest kilka dni. Odbywa się wtedy barwny pochod z przemarszem kadetów marynarki wojennej oraz pokaz jazdy konnej. Koni na Rapa Nui jest dużo. Podczas Fiestas Patrias sprawdza się umiejętności jeźdźców i rumaków. Wyścigi odbywają się na dystansie 800 metrów, a „dżokeje” na oklep i boso pędzą

niczym wiatr, przypominając raczej Tatarów niż Polinezyjczyków.

ÓSMY CUD ŚWIATA

Jednymi z moich ulubionych chwil na Wyspie Wielkanocnej podczas półrocznego pobytu były wieczorne braki prądu, gdy jedyny generator ulegał przeciążeniu. Wtedy wychodziłam przed dom, aby podziwiać aksamitną ciemność udekorowaną błyszczącymi gwiazdami i jasnym księżycem.

Dostarczanie prądu, wody pitnej, usuwanie śmieci i zanieczyszczeń jest tutaj kluczowym problemem. Hałdy odpadów są dość luźno składowane, za to ścieki pompuje się w głębokie doły, mądrze nie wylewając ich do oceanu. Wyspę odwiedza dziennie średnio 150 turystów. Mogłoby więcej, jednakże na dłuższą metę nie wytrzymałaby tego jej gospodarka komunalna.

W 2007 roku Rapa Nui w plebiscycie na nowych siedem cudów świata zajęło pechowe ósme miejsce. Jedni żalowali, inni zwracali uwagę, że gwałtowny napływ gości zachwiałyby równowagę ekologiczną.

Proza życia na środku oceanu wpływa także na opiekę zdrowotną. Miejscowy szpital to niewielki, podstarzały budynek z przychodnią, salą operacyjną, rentgenem i pokojami dla chorych. Młody doktor Castillo, chirurg, który wcześniej pracował w pogotowiu ratunkowym w Santiago, jest niezadowolony:



FOT. MALGORZATA JARZEMOWSKA

KOLOS NA KOLANACH

Jedyny w swoim rodzaju, klęczący *moai* uważany jest za pierwowzór kolosów. Został odkopany przez ekspedycję Thora Heyerdahla w 1955 roku.



PRESTIŻOWY DOM SENIORA

W KOLECZKOWIE
10 MINUT OD SOPOTU



My zadbamy o Twoich **bliskich**

– Tutaj nie daliby sobie rady beze mnie, a nie umięją o mnie zadbać! Zaproponowali mi mieszkanie służbowe przy szpitalu, ale koło śmietnika, a na dodatek przy samej kostnicy i pod trzynastką! Wynajmuje więc coś w miasteczku, a dla relaksu, po długim dniu pracy serfuje na przybrzeżnych falach.

Dwa razy do roku przylatuje z Santiago „uzbrojony” po uszy medyczny samolot wojskowy z lekarzami specjalistami oraz nowoczesną aparaturą. Zaczyna się wielkie poruszenie. Przez tydzień ustawiają się kolejki do badań. Poza tymi wizytami, w cięższych przypadkach zabiera się pacjenta do samolotu i oddaje w ręce lekarzy na kontynencie. Pozostaje tylko modlić się, aby chory wytrzymał, bo lot trochę trwa.

ZMARTWYCHWSTANIE

WYSPY WIELKANOCNEJ

W ciągu ostatniego półwiecza Wyspa Wielkanocna zrobiła kolosalny postęp, inteligentnie wykorzystując bogate zasoby kulturowe i przyrodnicze. Mieszkańcy polepszyli swoje warunki życia i uatrakcyjnili pobyt przyjeźdnym. Wymagało to niemałej inwencji i nakładu pracy.

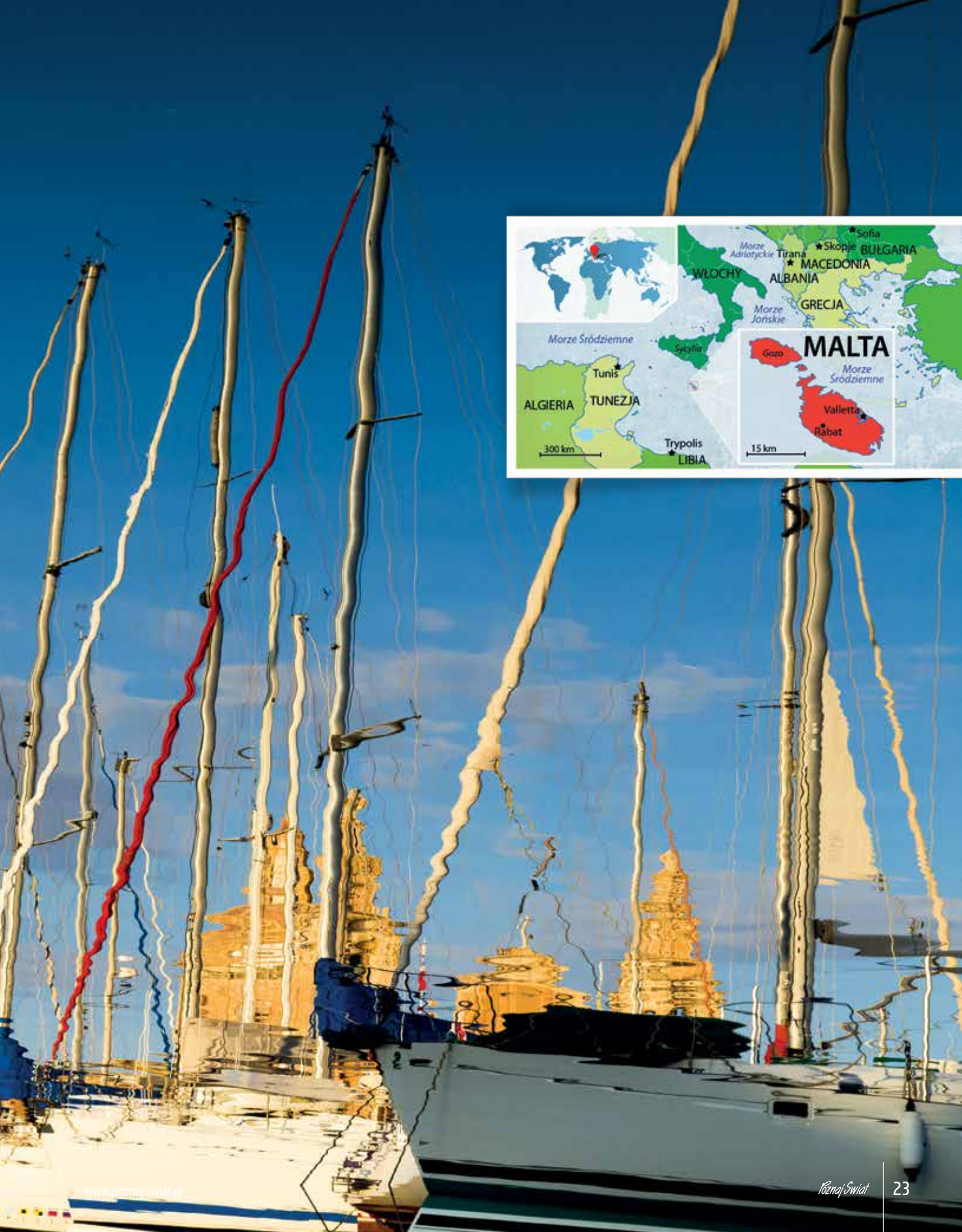
Tempo tutejszemu życiu nadają turyści. I trzeba przyznać, że jakkolwiek ceny nie są niskie (pokój w kwaterze za noc od 50 dolarów, obiad w restauracji od 20 dolarów, wypożyczenie samochodu od 50 dolarów za dzień, a pokazy taneczne – 20 dolarów), to wyspiarze solidnie wywiązują się z obowiązków gospodarzy.

Mikroklimat wyspiarski raczej rozleniwia, niż dopinguje. Ale nie na Wyspie Wielkanocnej! Tutaj nie narzeka się ani na niedostatek pomysłów, ani na brak energii. ○

Sławomir Kozdraś

BOSKA REDUTA

FOT. SŁAWOMIR KOZDRAŚ





FOT. SŁAWOMIR KOZDRAŚ



FOT. SŁAWOMIR KOZDRAŚ

Nazwa Malty pochodzi prawdopodobnie od greckiego słowa oznaczającego miód. Ta wyspa jest jednym z najpogodniejszych miejsc w Europie, słynącym z kąpeli słonecznych i turystyki rozrywkowej. Kraina miodem płynąca i słońcem paląca. Ale to tylko część historii.

Malta to bezsprzecznie raj dla każdego fana wygrzewania się w słońcu. Niewiele miejsc w zasięgu tanich lotów z Polski kusi tak koryzystną mieszanką upragnionego ciepła i głęboko niebieskiego morza. Wystarczy dorzucić światowej klasy nurkowiska oraz przystępne ceny i mamy receptę na raj turystyki masowej.

Znudzoną produkcją witaminy D turystom Malta oferuje jednak znacznie więcej. To wyspiarskie państewko, trzy razy mniejsze niż najmniejsze polskie województwo, słynie również ze swej krwawej historii oraz religijnego ferworu mieszkańców.

ZAKON JAK GROM

Historia Malty to historia walki. Wyspa zasiedlana była początkowo przez Fenicjan, Rzymian, ludy arabskie, sycylijskie i Hiszpanów. Najciekawsza część jej historii zaczyna się jednak wraz z przybyciem joannitów. Zakonnicy ci zostali wyparci na początku XVI wieku z Rodos przez posuwające się na zachód Imperium Osmańskie. Król Hiszpanii Karol V, obawiając się dalszej ekspansji wojsk osmańskich oraz islamu, oddał Maltę zakonnikom w zamian za obietnicę obrony wyspy i symboliczną opłatę w wymiarze dwóch sokołów maltańskich rocznie – po jednym dla Karola V i wicekróla Sycylii.



Joannici nie byli zakonnikami w obecnym rozumieniu tego słowa. Stanowili elitarną międzynarodową jednostkę wojskową, której bliżej było do dzisiejszego GROM-u czy amerykańskich *marines* niż do pocziwych mnichów uprawiających zioła i studiujących Biblię. Joannici zdobywali szlify wojenne podczas krucjat.

Konfrontacja z wojskami osmańskimi była nieuchronna. Trzydzieści tysięcy Turków wylądowało na Malcie w maju 1565 roku. Wyspy broniło siedmiuset zakonników i osiem tysięcy cywilów. Oblężenie trwało miesiącami. Walka była wyjątkowo brutalna – Turcy bombardowali mury Birgu, a ciała zabitych Maltańczyków przybijali do krzyży i puszczali z prądem tak, aby dryfowały w zatoce. Woda nabrała krwistej czerwieni. Maltańczycy nie pozostali im dłużni i w odwecie obcinali głowy tureckich żołnierzy i wystrzelili je z katapult w wojska nieprzyjaciela. Z trudem, ale z uporem, utrzymywali fort pod wodzą Wielkiego

Mistrza Zakonu Jeana Parisot de la Valette. W końcu wojska osmańskie musiały uznać ich wyższość i wycofać się z wyspy.

KRWAWY CARAVAGGIO

Wielki sukces zakonników (i Maltańczyków) katolicka Europa przywitała z ulgą. Ale nie tylko. Wdzięczność miała też wymiar mate-

CIEPŁO, ŻŁOTO, TURKUSOWO

Ciepłe wody Niebieskiej Laguny oraz urokliwe złote uliczki tutejszych miasteczek tworzą idealną atmosferę dla miłego wypoczynku.



JAK ZROBIONO TO ZDJĘCIE?

Słynna katedra w centrum Mosty. W trakcie II wojny światowej spadła na nią dwustukilogramowa bomba, która cudem nie wybuchła. Na zdjęciu widać też modele charakterystycznych maltańskich autobusów.

rialny i w kierunku Malty popłynęły ogromne pieniądze, dzięki którym spacer po wąskich uliczkach Valletty i okolicznych miasteczek to

PIĘKNA, BO NIEDOSTĘPNA

Niebieska Grota będąca jedną z atrakcji turystycznych Malty znajduje się w pobliżu miasta Żurrieq, w południowej części wyspy.

do dzisiaj ucztą dla oka. Zakonnicy wykorzystali fundusze na zbudowanie potężnej twierdzy w miejscu, gdzie wcześniej stacjonowały wojska osmańskie. Nazwano ją na cześć Wielkiego Mistrza Valette.

Caravaggio uciekał przed sprawiedliwością z Włoch po tym, jak zabił człowieka. Chroniąc się na Malcie, liczył na chwilę wytchnienia i przebaczenie papieża. Powitany został z otwartymi ramionami.



RÓŻOWY KONIEC DNIA
Valletta o zachodzie słońca widziana z Ogródów Barracca.

Za murami stały przepiękne domy z intensywnie złotego piaskowca i imponujące kościoły. Żaden nie mógł jednak równać się z opływającą złotem katedrą św. Jana. Jej wnętrze podziwiać można jako szczytowe osiągnięcie wczesnego baroku. Oprócz zapierających dech w piersiach złotych zdobień wzrok przykuwa posadzka, a na niej czaszki i kościotrupy zdające się mówić: „Memento mori – pamiętaj o śmierci”.

W 1607 roku na wyspę przybył Michelangelo Merisi da Caravaggio – być może najgenialniejszy artysta baroku, ulubieniec papieża, malarz innowator, obrazoburca, skandalista, morderca. Gdzież indziej mógł wylądować?

Przyjęto go do zakonu i od razu zlecono wykonanie obrazów do katedry. Zważywszy na historię Malty, wybór tematów nie mógł



W GÓRĘ SERCA
Święte figurki w jednym z licznych sklepów z dewocjonaliami.

być sielanką. Mistrz światłocienia namalował – na miejscu, gdzie jeszcze nie tak dawno lądowały obcięte głowy tureckich żołnierzy –



FOT. SŁAWOMIR KOZDRAŚ

NIKT NIE LUBI PRZEPLACAĆ

W zatoczce w Vittoriosie cumują zarówno małe łódeczki rybaków, jak i luksusowe jachty miliarderów – podobno ze względu na niskie opłaty postojowe.

obraz przedstawiający ścięcie Jana Chrzciciela. Ogromne, poruszające malowidło można podziwiać w przykatedralnym muzeum. Pozostało jedynym, które artysta podpisał własnym imieniem – słowo „Caravaggio” tworzy na obrazie, jakżeby inaczej, spływająca po posadzce krew Jana Chrzciciela. W niecałe dwa lata po swoim przybyciu na wyspę Caravaggio został z niej wygnany za pobicie jednego z zakonników.

WALECZNI DO SZALEŃSTWA

Oblężenie Malty przez Turków w XVI wieku to kluczowy moment w historii wyspy, ale nie jedyny, kiedy wyspiarze pokazali waleczność i upór. Na przestrzeni dziejów musieli odpierać jeszcze ataki wojsk napoleońskich i hitlerowskich. Za heroiczną obronę przed nazistami cały naród maltański został odznaczony Orde-

rem św. Jerzego – najwyższym odznaczeniem brytyjskim przyznawanym cywilom.

Historia historią, ale jak ma się ona do dzisiejszej Malty, kwitnącej gospodarki, członka Unii Europejskiej, z dala od zagrożeń wojny? Otóż Maltańczycy nie zatracili waleczności – wystarczy kilka dni na wyspie, żeby zobaczyć kłótnie na głównym deptaku Valletty, uderzenia łokciem pod żebra w kolejce do budki z przekąskami czy sytuację, gdy starsza pani dosłownie utarła nosa młodemu mężczyźnie, gdy ten wepchnął się przed nią do autobusu. Spory i rozwiązywanie problemów za pomocą siły, i to nie tylko argumentów, wydają się nadal burzyć maltańską krew. Porannym spacerem po malowniczych wioskach towarzyszy zwykle akompaniament wystrzałów wymierzonych w ptaki. Malta wydaje się być zawsze gotowa do kolejnej heroicznej obrony – jak nie niepodległości, to przynajmniej siedzenia w autobusie.



Po zakonnikach św. Jana pozostała współczesnym Maltańczykom nie tylko waleczność, ale również religijny zapał. Jedynym europejskim państwem, gdzie religijność zbliża się do maltańskiej, jest Polska. Na Malcie 98% mieszkańców to zadeklarowani katolicy. Widać to wyraźnie na ulicach. Z co drugiego rogu spogląda święta figura – bardzo często przyozdobiona przez wiernych świeżymi kwiatami. Numerom domów niemal bez wyjątków towarzyszą święte obrazki. Wystarczy krótki spacer po porcie przy zachodzącym słońcu, żeby spotkać rybaków – każdy z ramionami, plecami i klatką piersio-

wą przyozdobionymi ogromnymi tatużami z Jezusem, Maryją czy patronką wyspy, świętą



CZUWAJĄCA W DZIEŃ I W NOCY

Jedna z setek tysięcy figurek, wszechobecnych przy każdym maltańskim domu czy sklepie.

Helena. Niedziwne zatem, że najpopularniejsze na Malcie imiona to Józef i Maria.



FOT. SEAWOMER KOZDRAŚ

MIEĆ PATRONKĘ ZA SOBĄ
Wiara Maltańczyków manifestowana jest i w taki sposób. Ten rybak ma na plecach tatuaż z wizerunkiem św. Heleny, patronki wyspy.

Religijność ma też głęboki wpływ na inne aspekty życia na Malcie. To kraj, w którym nadal mniej niż połowa dorosłych kobiet pracuje. Tradycyjny podział nakazujący mężczyźnie pracę, a kobiecie zajmowanie się domem jest tu jak najbardziej żywy.

OT, CAŁA MALTA

Malta jest krajem bajkowych, turkusowych zatoczek, przepięknej pogody, architektury aż proszącej się o zdjęcia. To kraj imponujących kościołów, malowniczych uliczek i wina lejącego się przy zachodzącym słońcu na co drugim tarasie. Ale to też miejsce, w którym, jak mało gdzie, uliczki i skwery smaga powiew historii.

W języku słychać nuty arabskie, na budynkach widać wpływy hiszpańskiego baroku, a na ulicach brytyjskie skrzynki na listy. Mieszanka wpływów nadaje Malcie unikalny charakter, tworząc z niej kraj o wielu twarzach – nie tylko tych na leżakach wystawionych do słońca. Nic jednak nie nadaje wyspie charakteru tak, jak historia sporów, krwi i gorejącej wiary chrześcijańskiej.

Dobitnie podsumowuje Maltę i jej historię naklejka, którą zauważyłem na samochodzie zaparkowanym na jednej z wąskich uliczek Valletty. Oddaje ona żywe umiłowanie religii i ciągle buzującą w maltańskiej krwi skłonność do zaczepek. Napis brzmiał: „Kocham Jezusa. Ale nadal myślę, że jesteś dupkiem.” ◯

GTT 16. Gdańskie Targi Turystyczne

12-14.04.2013

w NOWYM Centrum Wystawienniczo-Kongresowym amberexpo



POLSKIE
I ZAGRANICZNE
REGIONY
TURYSTYCZNE

NARODOWE
OŚRODKI
PROMOCJI
TURYSTYCZNEJ

TOUROPERATORZY
BIURA
PODRÓŻY

BAZA
TURYSTYCZNA,
PRZEWOŹNICY

SALONY

- ACTIVITY EXPO
- KAJAK EXPO
- TRAVEL & LOVE



www.gtt.pl

Organizacja



Międzynarodowe Targi Gdańskie SA
ul. Zagłowa 11, 80-560 Gdańsk
Dyrektor Projektu: Dorota Solochevicz
tel./ fax 58 554 92 04
dorota.solochevicz@mtgsa.com.pl

Patronat Honorowy



Minister
Sportu i Turystyki



NARODOWY
BIURO TURYSTYCZNY



POLSKA
ORGANIZACJA
TURYSTYCZNA



Pomocnik Regionalna
Organizacja Turystyczna



Prezydent Miasta Gdańskie
Paweł Adamowicz

Patronat branżowy



Główny Partner
Travel & Love

ALL INCLUSIVE

Patronat medialny

www.gdansk.pl



PODRÓZE

PODRÓZE.pl



Poltrip.pl

WASZE PODRÓZE



NadMorze.pl



Konferencje.com

Hotelowe
rezerwacje.pl

ip:tourism

kajak.org.pl



WIOSŁO



Immanuel Kant nie ruszał się z Królewca. A przecież świata jednak trochę poznał i mógłby dziś dla nas felietony pisać.



W NUMERZE: BADOWSKI, MAZUREK, KANT

Nie jest dobrze kłamać w pierwszym zdaniu, więc sprostujmy od razu. Tuż po czterdziestce Kant wybrał się w podróż życia. Dojechał do Gołdapi (jakieś 150 kilometrów maks.), przyplacił to ciężką traumą i wrócił do domu. Wcześniej jeździł trochę za chlebem po podkrólewieckich dworach i to by było na tyle z jego podróży. Skądinąd wszyscy rozumiemy, że wizytę na dworcu w Gołdapi można przyplacić traumą, dlatego na PKS wjeżdżającym od razu wręczają wnioski do ZUS o ubieganie się o drugą grupę inwalidzką.

A propos Królewca, to muszę to Państwu opowiedzieć. Pewna moja znajoma – rocznik 1940 w tym wypadku ma znaczenie, więc go przywołuję – urodziła się właśnie w Królewcu. Rodzice na robotach – ot, wojenne losy. Panna Irena dorosła w PRL-u i musiała wyrobić

dowód osobisty. Jedynym kłopotem było miejsce urodzenia: Königsberg brzmiało rewizjonistycznie, Królewec nacjonalistycznie, w urzędzie wpisano jej więc Kaliningrad. Ale w 1940 roku on nie leżał w ZSRR. Nazwa Niemcy wyglądałaby fatalnie, hm, co tu zrobić? Urzędniczki wydały salomonowy wyrok. Miejsce urodzenia? „Kaliningrad, NRD”. Sam widziałem!

Ale ja nie o alternatywnej wizji historii. Przypadek Kanta, o którym ostatnio czytam, przywołał starą myśl, że poznanie świata mylimy jakże często z podróżowaniem. Jeżdżą bowiem tłumy ludzi po Ziemi całej i co? Poznaliśmy ją dzięki temu lepiej?

Jasne, trudno teraz o prawdziwego dzikiego, by go poznać, no chyba, że na Bródnie albo i w piątkową noc koło pubów w Glasgow. O dziwo jednak, tam ich nikt nie szuka. Zamiast tego lecimy

do Afryki, Amazonii czy na Borneo jakiegokolwiek. Ale i tam ściema jakaś. Dzicy przebierańcy na swej dzikości nie najgorzej zarabiają. Prawda, nie tyle, co przewodnicy zwożący turystów do „prawdziwych masajskich wiosek”, wyposażający ich uprzednio w tradycyjną afrykańską biżuterię importowaną z Indii lub Chin, ale jednak przebierańcy też z tego żyją. Szybko zdejmują dzinsy i ortalionowe kurtki (noce są zimne), upychają wszystko, co kupione w mieście, pod matę i już żyją jak ich dziaduniowie pięćset lat temu.

Zachwyceni turyści pstrykają fotki. Woleliby co prawda damy toples, jak w Namibii czy Etiopii, ale i Masajowie śliczni, kolorowi. Może być. Tym bardziej, że wioska jakaś taka bardziej higieniczna, bo chyba nie zdradzę tajemnicy, pisząc, iż piękne dziewczęta z plemienia Himba w Namibii pokrywają swą skórę miesza-

niną gliny z czymś tam, która to maziąja świetnie wypada na fotografiach, ale, jakby tu powiedzieć... No cuchnie to po prostu niemożliwie!

Dzikich nie dość, że nie ma, nie dość, że zdierają strasznie za zdjęcia, to jeszcze ich fotografowanie jest politycznie niepoprawne. Oglądanie afrykańskich czy amazońskich plemion to relikty kolonializmu, traktowanie przedmiotowe, słowem ludzkie zoo – tak twierdzą coraz silniejsze środowiska na Zachodzie. Ale nawet jeśli odrzucić ich polityczną retorykę, to pytanie pozostaje ważne: do jakiej wiedzy o świecie nas przybliżają półnagie piękności z wydm Namibii? Cóż takiego mówią nam o świecie majsajskie wioski organizowane przez biura podróży?

Śmiem twierdzić, że mówią nam one więcej o nas samych niż o reszcie ludzkości. Trudno dziś zaspokoić naturalną u każdego dorastającego chłopaka chęć odkrywania świata. W dobie komputerów, komórek i gps-ów żadna wyprawa nie robi na nikim wrażenia. Można, owszem, przejść pieszo od Kairu do Kapsztadu, z Lizbony po Władywostok, ale zajmie nam to kilka dobrych lat, a dziewczynie i tak zaimponować się nie da. No chyba, że przejdziemy na rękach.

Jeździmy więc w poszukiwaniu dziewiczych terenów, pierwotnych ludów, nieodkrytych łądów, kolekcjonujemy filmy i pamiątki. Słowem, Tony Halik doczekał się w nas godnych następców. Tylko nikt nie pyta: I co z tego? Po co to nam? Nie zapędzam się, sam uwielbiam podróżować, ale od jakiegoś czasu dociera do mnie nie tylko to, że nie zobaczę wszystkiego, ale i to, że wcale nie mam ochoty. Zamiast podziwiać kolejny wodospad, wolę pogadać z tubylcami. Może być na plaży, może być w knajpie, pociągu – gdziekolwiek, byle ich posłuchać.

Tu oczywiście warto zaznaczyć, że upadek imperiów powoduje w podróżowaniu gigantyczne komplikacje. I to nie tylko dlatego, że po upadku takiego Związku Sowieckiego powstało piętnaście nowych państw ze swymi granicami, wizami i – a to już najgorsze – swo-

imi językami. Bo ja mogę opanować rosyjski, zgoda, ale proszę jednak nie żądać ode mnie, bym władał kirgiskim! Przemiała dziewczyna na pocztce w Eczmiadzynie patrzyła na mnie jak cielę na malowane wrota, bo mówiłem do niej po rosyjsku. A ona, urodzona już w niepodległej Armenii, ogląda czasem rosyj-

choć ten pożytek wyniosę, że język jakiś opanuję.

Tylko czy to wszystko aby na pewno jest najważniejsze? Moja dziesięcioletnia córka przygotowywała prezentację o swej najbliższej okolicy: ot, pobliski park Morskie Oko, pałacyk, domy Herberta i Makuszyńskiego, willa Cho-

ZDJĘCIE: PROCES TWORZENIA
DAVID DUCHEMIN
W swojej nowej książce duChemin wprowadza czytelnika w bardzo intymny świat obrazu, odsłania tajniki kreowania stylu oraz samorozwoju. Niewielu fotografów i nauczycieli stać na taką szczerość.
Marek Arcimowicz, arcimowicz.com

KOMPOZYCJA BEZ TAJEMNIC
BRYAN PETERSON
Bryan Peterson w przystępny sposób wyjaśnia zasady tworzenia przykuwających wzrok obrazów. Polecam!
Marcin Grabowiecki, Fotopolis.pl

www.galaktyka.com.pl

POLECAJĄ **FOTO-VIDEO**

ską telewizję i nawet rozumie, co do niej mówię, ale odpowiedzieć już nie potrafi. Ech, kiedyś nie do pomyślenia...

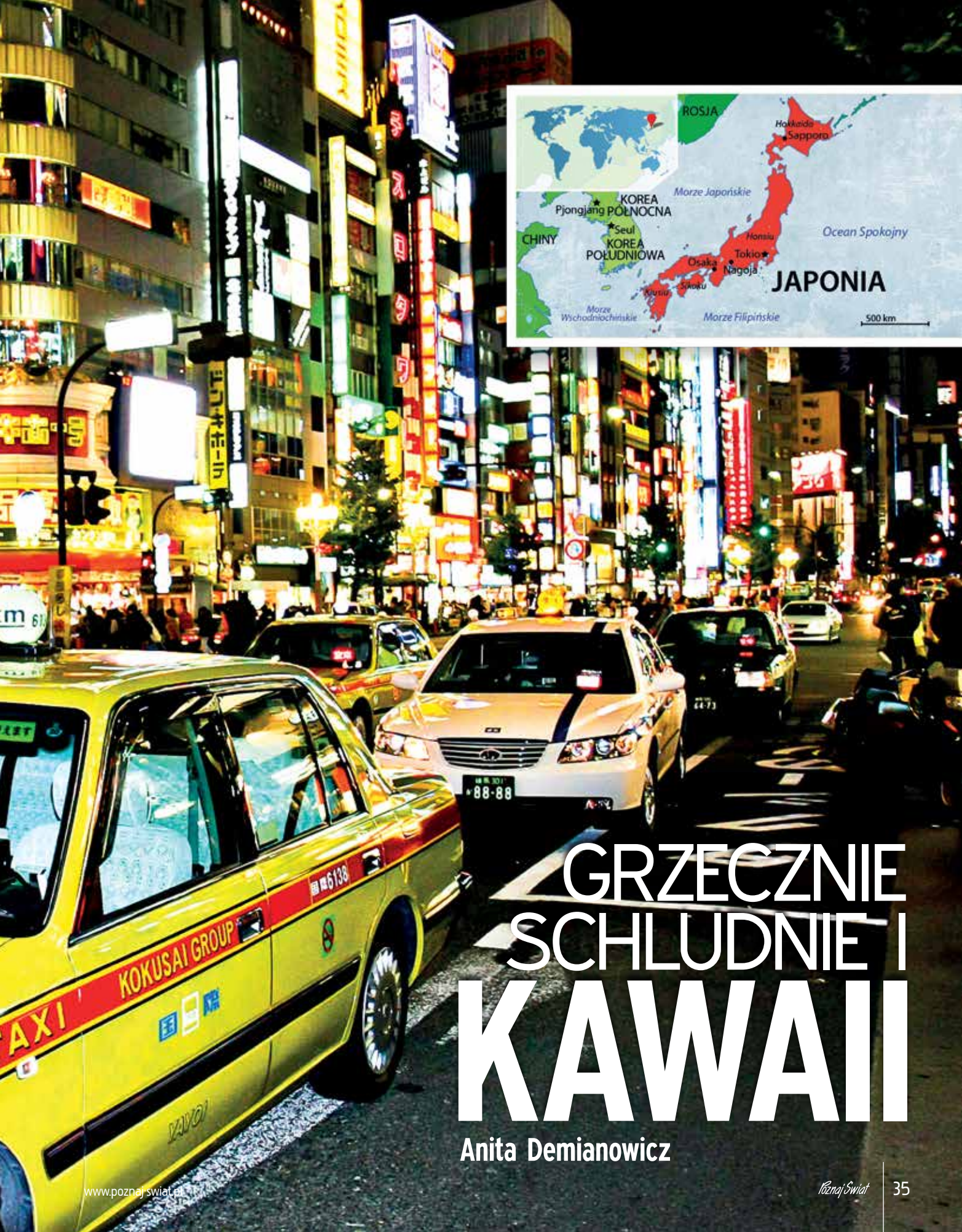
Młodzi Litwini, nawet jeśli rozumieją po rosyjsku czy, jak niektórzy w Wilnie, po polsku, to wolą porozumiewać się mową Szekspira. Nie mam nic przeciwko, tylko błagam, nauczcie się jej uprzednio! Niech z podróży po świecie

wańczaka, mnóstwo powstańczych historii... Wszystko to naprawdę pasjonujące, wciągające, a przede wszystkim ważne, prawdziwe. By dowiedzieć się czegoś naprawdę istotnego, nie musi jechać na kraj świata.

Może więc nie warto nigdzie jeździć? Ludzie, zostańcie w domu! W końcu Gołdap wszystkich nie pomieści. ○



FOT. SHUTTERSTOCK



GRZECZNIE SCHLUDNIE I KAWAI

Anita Demianowicz



FOT. ANITA DEMIANOWICZ

KOLEJ NA SŁODKO

W Japonii nawet wagony ozdobione są w stylu *kawaii* – infantylnie i cukierkowo.

Opisywanie Japonii zaczyna się zazwyczaj od wszelkich obecnych tam dziwactw i odrębności. Z podobnymi spostrzeżeniami na temat tego kraju zetknęłam się w wielu książkach. Jednak odmiennosc Japończyków to przede wszystkim ich wysoka kultura osobista oraz zamiłowanie do porządku i czystości.

Tutaj pociągi, metro i autobusy nigdy się nie spóźniają. Ponieważ żyje się szybko, to i szanuje czas innych. Wyznaczona godzina jest święta. W hotelu, na przykład, ustalona pora posiłku musi być respektowana. Wpraw-

dzie nikt obcokrajowcowi nie powie prosto w twarz, że się spóźnił i żeby to było ostatni raz, ale takie zachowanie nie jest mile widziane.

KRAINA GRZECZNYCH KOLEJEK

Japonia to kraina kolejek. Znane w Polsce wpychanie się w tłum czekających nie istnieje, chyba że znajdzie się obcokrajowiec, który naruszy ten porządek i minie grzecznie stojących, wsiadając jako pierwszy do metra. Tutaj kolejki ustawiają się nie tylko w sklepie, również na peronach i przystankach autobu-



To dziwny kraj, w którym toalety śpiewają, zaś w automatach można kupić wszystko, nawet używane majtki. Podczas jedzenia zachowaniem nienagannym jest beknięcie oraz siorbanie. Ludzie śpią w kapsułowych hotelach, a na ulicach noszą maski ochronne...

sowych. Oczekujący nie stoją zbici w grupę, lecz posłusznie wzdłuż wytyczonej na chodniku linii, która wskazuje nie tylko kierunek, ale też kolorystyką oznajmia, do którego pociągu dana kolejka prowadzi.

Nie ma potracania, przepychania i poszturchiwania; nikt na nikogo krzywo nie patrzy, ale też nie wymaga ustąpienia miejsca. Taki zwyczaj w Japonii nie istnieje. Miejsce siedzące ma ten, kto szybciej znalazł się w kolejce. I to nie jest barbarzyństwo, ale uznana norma.

Rzadko spotyka się osoby, które wyróżniają się strojem. Niemal każdy przyodziany jest tutaj w jakiś uniform, na przykład robotnicy

noszą stroje, które trochę przypominają ubrania sportowców. Uniformy obsługi w sklepach zwracają uwagę swoją wyjątkową czystością i schludnością.

Tzw. *salarymeni* (od *salary* – pensja i *men* – mężczyźni) od rana do nocy przemieszczają się ulicami lub metrem w czarnych spodniach i białych koszulach. Kobiety są zazwyczaj ubrane w stroje europejskie albo w *yukaty*. Noszą też kostiumy z mangi i anime (tzw. *cosplayerki*). *Yukatam* towarzyszą zwykle *getta*, czyli drewniane sandały, w których krok jest drobniutki i bardzo hałaśliwy.

CO JEST GRANE

Japończycy, niezależnie od wieku, wolne chwile najchętniej spędzają w salonach gier.



FOT. ANITA DEMIANOWICZ



ZDROWO, BO NA SUROWO

Doskonałe sashimi – kawałki surowej świeżej ryby – można zjeść m.in. na targu rybnym Tsukiji.

BRAMA GROMÓW

Wejście do świątyni Sensoji, najstarszego obiektu sakralnego w Tokio, zbudowanego w 645 roku.

WIESZ, CO JESZ

Jedzenie można nie tylko kosztować, ale również cieszyć nim wzrok. Każda restauracja czy knajpka posiada witrynę, za którą umieszcza się plastikowe reprodukcje dań serwowanych w wersji realnej. Nie ma więc obawy, że zamówi się coś niewłaściwego. Wszystkie dania są dokładnym odzwierciedleniem jedzenia, które dostaniemy po zamówieniu, a do tego za darmo otrzymamy wodę i zieloną herbatę.

Kuchnia japońska jest smaczna i piękna wizualnie, ale porcje są małe. Ratunkiem są bary sushi, gdzie nieustannie na taśmie przesuwały się talerzyki ze świeżo przygotowanymi porcjami. Można zgarnąć tyle talerzyków, ile dusza, a właściwie żołądek, zapagnie. Jeśli nie ma czasu na zasiadanie w restauracjach, możemy w całodobowych sklepach,

tw. *kombini*, zaopatrzyć się w zapakowane porcje: surówek, sushi, *takoyaki* (kulki z ciasta z kawałkiem ośmiornicy), *okonomiyaki* (coś na kształt japońskiej pizzy) i wielu innych dań i przekąsek, choćby z popularnym nadzieniem z czerwonej fasoli.

Japonia to nie tylko sushi, ryż, owoce morza i surowa ryba. Jest jeszcze, wspomniana już, zielona herbata, którą da się nie tylko pić, ale i jeść w postaci lodów, ciastek i cukierków. Bo tutaj zrobić z niej można wszystko.

W tym kraju nie ma produktów, które nie miałyby na etykietach składników i wartości odżywczych. W Polsce, choć przepisy już tego wymagają, nie na każdej etykiecie można doczytać, co dany produkt zawiera. W tokijskich cukierniach każde ciastko czy drożdżówka, oprócz ceny, ma na plakietce wypisaną wartość



odżywczą. Tutaj dba się o dobrą dietę i nie-przejadanie. Gruby człowiek, zwany w Japonii *metabo*, nie jest mile widziany, chyba że jest za- paśnikiem sumo.

SEGREGACJA DOSKONAŁA

Wchodząc do łaźienki, należy zmienić obuwie pokojowe na łaźienkowe, w którym pod żad- nym pozorem nie wolno wędrować po innych częściach mieszkania. Do świątyni wchodzi się na bosaka, ale rytuał ten obejmuje również przymierzalnie w sklepach. Przekonałam się o tym boleśnie, wygnana przez sprzedawczynię z przymierzalni, do której bezmyślnie weszłam w obuwiu.

Autorzy wielu książek rozpisywali się o zachwycie Japończyków nad Europejczyka-

mi, którzy potrafią jeść pałeczkami lub którzy znają choćby kilka słów po japońsku. Z czymś takim się nie spotkałam. Jeść można albo pa- łeczkami, które noszą nazwę *hasbi*, albo sztuc- cami, i nikt z tego powodu nie robi ceregieli. Podobnie jest ze znajomością podstawowych zwrotów, która jest tu przyjmowana zupełnie normalnie.

W Japonii nie istniejesz bez wizytówki. Wizytówkę wręcza każdy, nawet spotkany w przelocie jegomość. Niejednokrotnie zda- rzało mi się, że po kilku uśmiechach pod- chodził zupełnie obcy człowiek i zginając się w pół, wręczał swój kartonik. Podaje się go obiema dłońmi z szacunkiem. Tak też należy go odebrać od właściciela, a następnie poświę- cić mu sporo uwagi. Nigdy nie wiadomo, kiedy dany kontakt może się przydać.

ATRAPĄ DO KLIENTA

Plastikowe modele dań to duże udogodnienie dla obcokrajowca nieznającego japońskiego pisma.



HIGIENICZNIE I WESOŁO
Chory Japończyk to strata dla gospodarki. Maseczki chronią przed zarażeniem siebie i innych. Czasem służą jako ozdoba.

Denerwujący może się okazać brak ulicznych śmietników. No cóż, w Japonii to, co zabierzesz ze sobą z domu, musisz do niego przynieść. Tutaj segreguje się pieczołowicie. To nie jest zwykły podział na papier, plastik i szkło. Butelkę po napoju rozkłada się na czynniki pierwsze: butelka osobno, etykieta osobno, zakrętka osobno. Jeszcze do innego pojemnika idą kubki po kawie czy lodach, folia, pałeczki i słomki. Nawet resztki jedzenia mają osobny kontener. Można się w tym pogubić, więc początkowo konieczna jest „instrukcja obsługi” japońskiej segregacji. A śmietniki można jedynie napotkać przy *convenience stores* typu Family Market czy Seven Eleven oraz czasami przy maszynach z napojami, lodami czy papierosami.

Jeśli po drodze nie natrafimy na któryś z całodobowych sklepów, potrzebny produkt

możemy kupić w automacie. Jest w nich prawie wszystko, choćby alkohol czy owoce. Stoją na każdym kroku, zawsze są pełne i nie ma obawy, że połkną twoje pieniądze. Tutaj takie rzeczy się nie zdarzają.

W STYLU SWEET

Słodkie, cudowne, ale również – niewinne, bezbronne, często słabe i wymagające opieki. To wszystko jest *kawaii*. Również to, co jest różowe... Znana w Polsce kotka Hello Kitty też jest *kawaii*. Wszędzie na mieście można zobaczyć kolorowe rysunki i plakaty rodem z kreskówek. Nawet wejścia do budynku policji strzegą plastikowe figurki dwóch metrowej wielkości sztucznych i cokolwiek infantylnych funkcjonariuszy.



SMARTFONIKU, POWIEDZ PRZECIE...

Ciekawe, z którą z tych pań rozmawia ten pan? Japończyk nigdy nie rozstaje się z telefonem. Zastępuje on radio, książkę, gazetę, a nawet lusterko.



FOT. ANITA DEBIANOWICZ

Kawaii muszą być młode kobiety, które przepiebrane za uczennice w krótkich spódniczkach i długich do kolan skarpetkach, przechadzają się po Harajuku – jednej ze znanych dzielnic Tokio, w której rządzi moda. Można tu nie tylko zajrzeć do licznych butików z ciekawymi rzeczami, ale i zaobserwować niesamowite stroje młodych Japonek, które paradują dumnie, wystylizowane na ulubione postaci z mangi i anime.

W Japonii można też zauważyć dziewczęta w za dużych o kilka numerów szpilkach. Gdy pierwszy raz o tym przeczytałam, myślałam, że to żart. Dlaczego ktoś miałby chodzić w za dużych butach? Potem ujrzałam to „na żywo”. Po prostu, za duże buty też są *kawaii* – to jakby mała dziewczynka przebrała się za dorosłą kobietę, co przecież jest takie słodkie...

Charakterystyczny jest chód Japonek. Polskie mamy upominają, aby nie stawiać stóp do środka, lecz na zewnątrz. Tutaj panuje odmienny pogląd na tę sprawę – dziewczęta stawiają palce ku sobie. Dzięki temu jest jeszcze bardziej słodko.

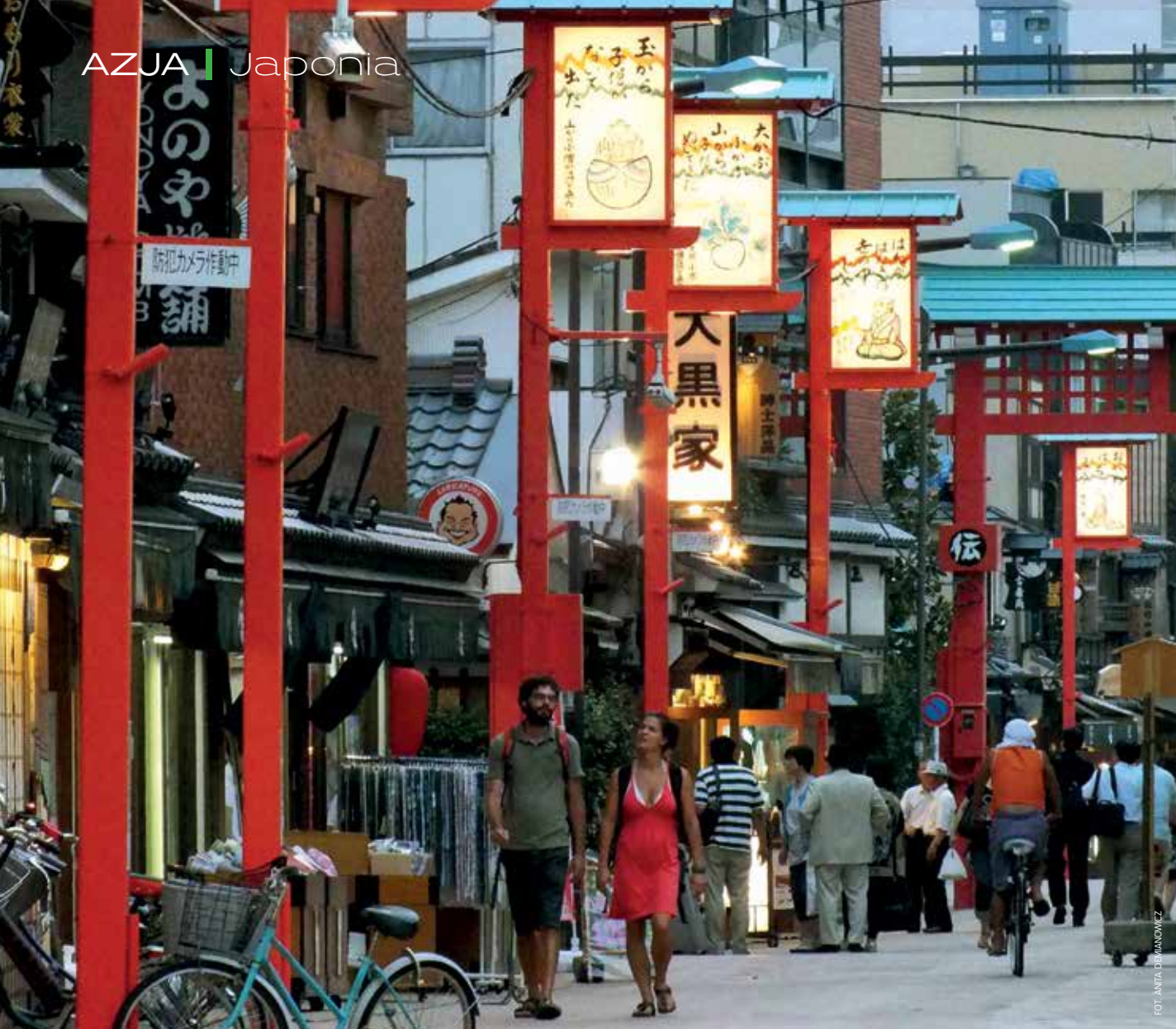
Kawaii są liczne ozdoby noszone przy torebkach czy telefonie. Zwłaszcza te drugie wyglądają niczym małe dzieła sztuki. I nic dziwnego, bowiem telefon jest nieodłącznym towarzyszem każdego Japończyka.

JAPOŃSKI WACHLARZ ZALET

Ulice Tokio są szaro-czarno-białe. Podobnie jak ludzie, zwłaszcza mężczyźni, którzy w swoich białych koszulach i czarnych spodniach, przemierzają się zarówno rano – pędząc do

HALO, MAMY XXI WIEK

Japonki chętnie noszą tradycyjne stroje, nie rezygnują jednak z nowinek technologicznych, które, podobnie jak i one same, muszą być w stylu *kawaii*.



FOT. ANTA DE MACQUEZ

TURYSTA
WIECZOROWĄ PORĄ
 Asakusa jest starą dzielnicą Tokio, w której znajdują się liczne zabytkowe świątynie. To idealne miejsce na wieczorny spacer.

biur, jak i wieczorem – obsiadając krzesła w licznych barach. Panie są bardziej kolorowe, zwykle jednak ukrywają się pod parasolami. Japonki nawet przy czterdziestostopniowym upale nie odsłaniają ciała, opatulając je licznymi warstwami, chowając też dłonie w rękawiczkach, a nogi w nieprzezroczystych rajstopach. W dłoniach obu płci widoczne są wachlarze, które można dostać na ulicy niemal na każdym kroku, jako gadżet firmowy. W ten sposób, rozdając wachlarze, a także chusteczki – suche do otarcia skroni, mokre do oczyszczenia rąk – firmy reklamują swoje usługi i towary.

Ludzie są życzliwi i pomocni i wcale nie boją się obcokrajowców. Owszem, ich znajomość jakiegokolwiek języka, poza ich własnym, jest znikoma, ale chęć niesienia pomocy

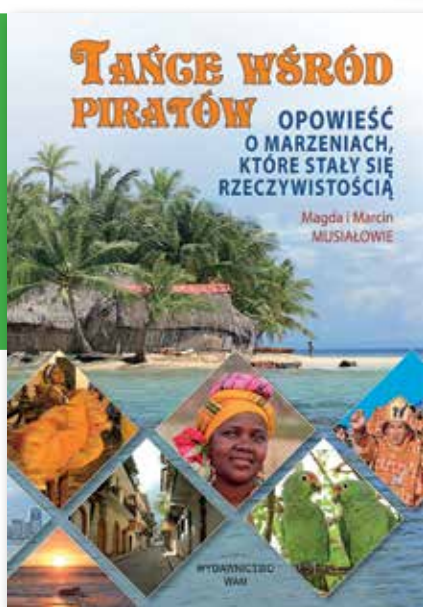
ogromna. Zawsze znajdzie się ktoś, kto wskaże drogę lub pomoże kupić bilet. Wielokrotnie tokijczycy sami nas zaczepiali, chcąc porozmawiać i dowiedzieć się, czy podoba nam się w Japonii. Nie wyczuwało się strachu przed obcymi, lecz zwykłą ludzką ciekawość.

Japończycy są bardzo przyjaźni, do tego praworzadni, punktualni, grzeczni i pracowici. Mają zakodowany szacunek dla prawa oraz przyjętych reguł społecznych. Wynika z tego wzajemne zaufanie i poczucie bezpieczeństwa. Właśnie w tych cechach tkwi ich największa odmienność od światowych standardów, reprezentowanych dziś przez statystycznego *gajdzina* (cudzoziemca) z Europy czy Ameryki, który odwiedza ten kraj. ○

GEOSKOP

OBEJRZANE
PRZECZYTANE
ZASŁYSZANE

PATRONAT POZNAJ ŚWIAT



300 STRON PRZYGODY

„Tańce wśród piratów” to zapis wyprawy Magdy i Marcina Musiałów do Wenezueli, Nikaragui, Dominikany, Kostaryki, Panamy i Kolumbii. W ciągu trzymiesięcznej wyprawy przeżyli bardzo wiele przygód. Przemierzyli kraje przez wielu postrzegane jako niebezpieczne, a podróż okazała się doświadczeniem łamiącym wszelkie stereotypy. Książka jest nie tylko chronologicznym zapisem podróży, ale również ukazaniem codziennego życia mieszkańców tego regionu świata. To cenna dawka wiedzy dla osób, które chcą wybrać się w te okolice czy po prostu poczytać o tak odległych miejscach. Książkę, wydaną przez WAM, ilustruje ponad 150 ciekawych fotografii.

PATRONAT POZNAJ ŚWIAT

GEOGRAFIA W TEORII I PRAKTYCE

11-14 kwietnia w Toruniu odbędzie się 37. Ogólnopolski Zjazd Studentów Kół Naukowych Geografów. Organizowany jest przez młodych geografów dla studentów nauk geograficznych różnych ośrodków naukowo-badawczych zlokalizowanych na terenie całego kraju. W tym roku organizatorem jest Studenckie Koło Naukowe Geografów Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu. Konferencja obejmuje nie tylko prezentację i ocenę dokonań uczestników podczas sesji referatowej, ale także liczne formy aktywności w terenie. Zjazd daje możliwość nawiązania współpracy i kontaktów naukowych, które zaowocują w przyszłości wspólnie przeprowadzonymi badaniami i projektami.





W POGONI ZA MARZENIAMI

Skipper Zbig, czyli Zbyszek Poleszak, dzięki pasji, którą jest żeglarstwo, podróżuje po świecie, spełniając swoje marzenia. Pod żaglami zarówno małych, jak i bardzo dużych jednostek (STS: „Pogoria”, „Fryderyk Chopin”, „Dar Młodzieży”) przepłynął 20 tys. mil morskich.

W kwietniu wyrusza jako skipper w rejs z Ensenady w Meksyku do Brisbane w Australii na jachcie pod polską

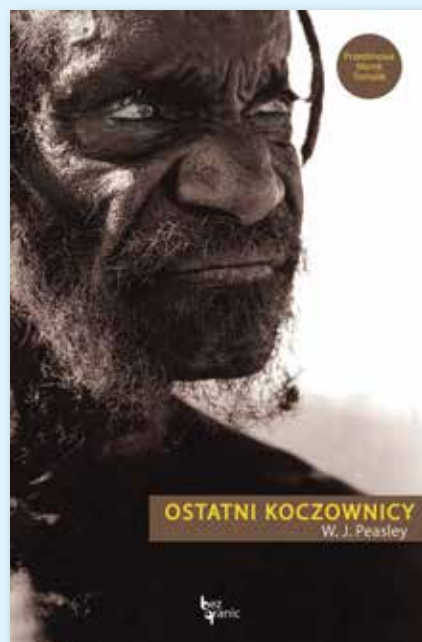
banderą. W skład ekipy wyprawy „W pogoni za marzeniami” wchodzi także Francuz oraz Fidżyczyk polskiego pochodzenia. Trasa trzymiesięcznego rejsu wiedzie przez Hawaje, Kiribati, Samoa, Fidżi, Vanuatu i Nową Kaledonię. Celem wyprawy, poza czysto żeglarską przygodą, jest poznanie nowych ludzi oraz miejsc odległych, których już same nazwy „pachną” egzotyką.

ABORYGEŃSCY ROMEO I JULIA

Główni bohaterowie książki, Warri i Yatungka, to para zakochanych w sobie Aborygenów. Zakochanych, jednak nie do końca szczęśliwie. Na drodze ich szczęścia staje plemienne prawo zawierania małżeństw. Jednak ogromne uczucie oraz determinacja, aby być ze sobą za wszelką cenę, sprawiają, że para pod osłoną nocy ucieka ze swojej osady, skazując się tym samym na wygnanie.

„Ostatni koczownicy” to fascynująca relacja z ekspedycji w głąb Pustyni Gibsona. Celem było odnalezienie tych ostatnich przedstawicieli plemienia Mandildjara, którzy wiedli koczowniczy tryb życia, dokładnie taki, jaki prowadził ich lud od czasów pojawienia się pierwszego człowieka na kontynencie australijskim. Jest to opowieść zarówno o ratowaniu pary starych Aborygenów, jak i o przetrwaniu w niesprzyjających warunkach pustynnego środowiska.

Historia tej pary, określanej mianem aborygeńskich Romea i Julii, oraz ich niecodzienne love story stały się przedmiotem dwóch dokumentalnych filmów: „The Last of the Nomads” (1997) i „Footprints in the Sand” (2007). Ostatni koczownicy to prawdziwa historia o miłości i przywiązaniu, nie tylko do drugiego człowieka, ale także do własnej kultury i ziemi.





Majówka to doskonała okazja, by lepiej poznać sztukę fotografii i przygotować się do dłuższych, wakacyjnych podróży. W tegoroczny weekend majowy Akademia Nikona po raz kolejny zabiera na niezapomniane fotowarsztaty w urzekającym krajobrazie Wolińskiego Parku Narodowego.

Fotografowanie pejzaży i krajobrazów jest łatwe tylko z pozoru. Aby zdjęcie było czymś więcej niż tylko zwykłym zapisem odwiedzanego miejsca, powinno angażować

morskich klifów, puszczy bukowych i wielkich pływających kęp zieleni. Na kutrze rybackim uczestnicy warsztatów zapuszczą się w trudno dostępną dla zwykłych turystów deltę Świny, pełną ptaków i kilkuhektarowych wysepek wysuniętych zaledwie 30 cm nad wodę. W programie znalazła się również wyprawa do starej i malowniczo położonej wioski Kamminke, zamieszkałej przez rybaków oraz artystów malarzy.

Więcej informacji: www.akademianikona.pl

PATRONAT POZNAJ ŚWIAT

AFRYKAMERY

VIII Festiwal Filmów Afrykańskich AfryKamera 2013 w tym roku odbędzie się 10-14 kwietnia w Warszawie. Inspirując się MFF w Wenecji, organizatorzy postanowili dostosować formułę do oczekiwań współczesności, inwestując w jakość kosztem ilości. Nacisk położono na podwyższenie międzynarodowego prestiżu festiwalu i zaproszenie czołowych afrykańskich reżyserów. Nowym elementem będzie rozbudowany program wydarzeń towarzyszących oraz spotkania z twórcami z Afryki.

Filmy pokazane w tym roku to najlepsze obrazy wyprodukowane na Czarnym Kontynencie w ciągu ostatnich kilku lat. Afryka znajduje się obecnie w samym środku swojego renesansu – to najszybciej rozwijającą się region świata. Prężnie działa

także przemysł filmowy, szczególnie w takich krajach, jak: RPA, Kenia, Egipt, Algieria, Maroko czy ostatnio także Senegal. Filmy wyprodukowane w Afryce coraz częściej kwalifikują się do konkursów najważniejszych festiwali filmowych, startując obok najlepszych produkcji europejskich i amerykańskich. Tematy poruszane podczas tegorocznego festiwalu pokazują Afrykę taką, jaka jest: z trudną historią, niezwykle bujną kulturą, z poważnymi problemami, ale z pełnymi temperamentu ludźmi. Kino afrykańskie, mimo że czerpie nadal ze zdobyczy Ameryki i Europy, mówi własnym językiem i o własnych problemach. Festiwal Filmów Afrykańskich AfryKamera 2013 pokaże, że poruszając się w przestrzeni filmów, Afryka należy już do filmowego pierwszego świata.

AfryKamera w tym roku również odwiedzi inne miasta jako AfryKamera Repliki. Pokazy odbędą się w Gdańsku, Wrocławiu, Poznaniu, Krakowie, Toruniu i Białymstoku.





Architekci Podróży – Martyna Nowicka i Mateusz Paprocki – chcą pokazać, jak Chińczycy postrzegają Polaków i co wiedzą o Polsce. Podczas 1,5-miesięcznej podróży z północy na południe Chin będą prezentować sylwetki rodaków mających wpływ na chińskie społeczeństwo.

W planie mają napisanie reportażu m.in. o Polakach w historii Chin, w tym celu odwiedzą Harbin – „polskie miasto” założone w 1898 r. przez Andrzeja Szydłowskiego. By udokumentować rolę Polaków w chińskiej religii, pojadą do ośrodka buddyzmu zen w Hong Kongu prowadzonego przez sopcianina. Odwiedzą też Polaków pracujących w Państwie Środka, m.in. Justynę Szpakowską, która w chińskiej telewizji prowadzi program kulinarny.



FOT. MARTYNA NOWICKA

Więcej na stronach: www.chinypolsku.pl, www.architekcipodrozy.pl

WYSPY Anne-Claire Meffre warte odkrycia

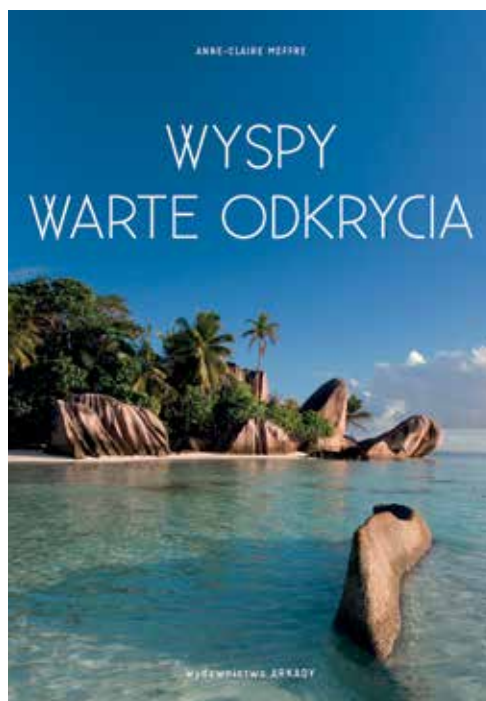
Ten piękny album przedstawia fascynujące wyspy i archipelagi z całego świata, które mogą być celem wymarzonych podróży. Autorka krótko opisuje geografię i historię każdej wyspy, jej faunę i florę, mieszkańców, ich kulturę i tradycje. Znajdziemy tam również wskazówki nawigacyjne, informacje o linii brzegowej i rezerwach przyrody oraz najciekawszych miejscach do nurkowania.

Historia wysp zamieszkałych przez ludność tubylczą lub potomków kolonistów i niewolników, odkrywanych przez Krzysztofa Kolumba, Jamesa Cooka czy Jacques'a Cartiera,

zwidzanych przez Bougainville'a, Darwina lub Humboldta, wysp leżących na styku cywilizacji fascynuje, a także ujawnia wielkie przemiany, którym ulegał świat.

Blisko sześćdziesiąt wysp i archipelagów – wybranych z uwagi na swe piękno, niepowtarzalność, znaczenie przyrodnicze, historyczne lub kulturalne – ofiarowuje miłośnikom żeglarstwa, nurkowania i podróżowania wszystkie swe bogactwa.

Książka ukazała się nakładem Wydawnictwa Arkady.





FOT. PKP CARGO

PARADA PAROWOZÓW

PKP CARGO zaprasza na XX Paradę Parowozów w Wolsztynie, która odbędzie się 27 i 28 kwietnia. Weźmie w niej udział rekordowa liczba ponad 20 parowozów z Niemiec, Austrii, Czech, Węgier, Słowacji i oczywiście Polski. Organizatorzy, jak co roku, przygotowują też szereg dodatkowych atrakcji. Jedną z nich będzie widowisko „Światło, Dźwięk i Para” w reżyserii Bolesława Pawicy. W tym roku miłośnicy kolei zobaczą parowozy w opowieści o miłości dwojga akrobatów, których uczucie narodziło się na początku XX wieku i przetrwało zawieruchy historii.

Wystąpią też znani artyści estradowi. Gościem specjalnym będzie Oceana – wykonawczyni hymnu mistrzostw EURO 2012 „Endless Summer”. Wystąpi także najśłynniejszy polski iluzjonista Maciej Pol. Atrakcją będzie rywalizacja maszynistów, m.in. w teście sprawnościowym – jadąc rozpędzonym parowozem muszą wychylić się z kabiny, chwycić szklanekę wody z postumentu przy torach i odstać ją na postument kilkaset metrów dalej, nie uroniwszy ani kropli.

Należąca do PKP CARGO Parowozownia Wolsztyn istnieje już 106 lat. Rocznie odwiedza ją ok. 12.000 turystów. Jest jedynym takim obiektem na świecie, z którego maszyny użyczone są do prowadzenia regularnych przewozów pasażerskich. Parowozy Ol-49 pięć dni w tygodniu na zlecenie Kolei Wielkopolskich kursują między Poznaniem a Wolsztynem, a w weekendy prowadzą pociągi zamawiane przez miłośników kolei i turystów. Rocznie pokonują na terenie Wielkopolski ok. 100 tys. km.

SAMOTNY REJS DOOKOŁA ŚWIATA

Ocean Południowy – najbardziej niegościnne miejsce na Ziemi. Huragony, zabójcze fale, podstępne góry lodowe i żadnych szans na ratunek w razie wypadku. Chcąc opłynąć świat dookoła, trzeba jednak pokonać tę oceaniczną pustynię. Tomasz Cichocki podjął wyzwanie.

W ciągu 10 miesięcy samotnego rejsu udało mu się bez zawijania do portów (poza konieczną naprawą steru w RPA) opłynąć kulę ziemską wokół trzech słynnych przylądków: Dobrej Nadziei, Leeuwin i Hornu. Jego łódź – seryjny jacht nadający się raczej do rekreacyjnego pływania po Adriatyku niż do zmagania z rozwścieczonym oceanem – początkowo była wyposażona w najnowocześniejszy sprzęt. W zetknięciu z rozszalałym żywiołem elektronika niestety zawiodła; popsuły się radar, autopilot, generator prądu. Wywrotka pozbawiła żeglarsza połowy zapasu żywności, ale jacht przetrwał.

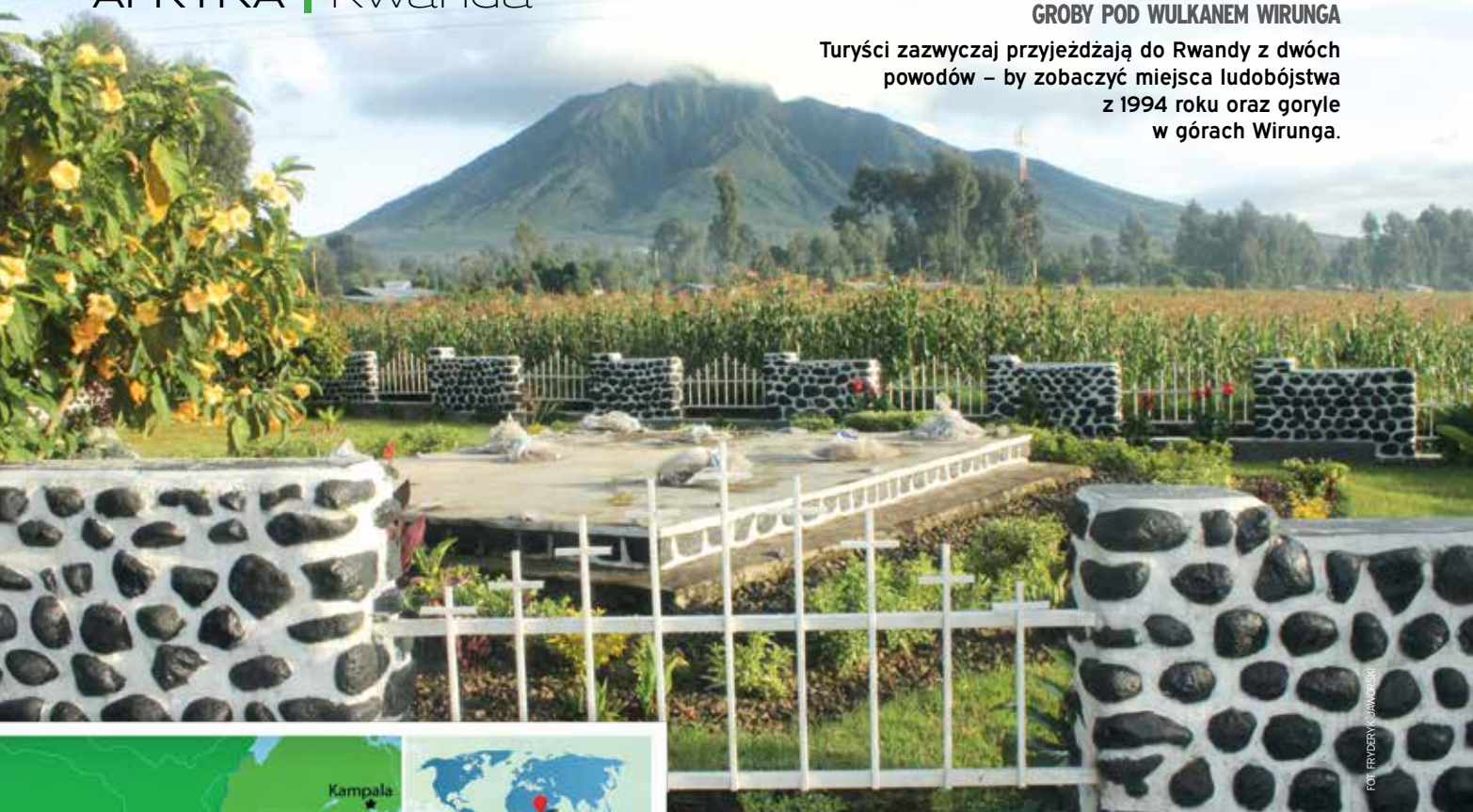
O swoich zmaganiach ze słabościami, magicznych chwilach na oceanie i dziwnych spotkaniach z tajemniczymi stworzeniami kapitan Cichocki opowiada z humorem i dużą dozą autoironii.

Książka „Zew oceanu” ukazała się w serii „Bieguny” (Carta Blanca).



GROBY POD WULKANEM WIRUNGA

Turyści zazwyczaj przyjeżdżają do Rwandy z dwóch powodów – by zobaczyć miejsca ludobójstwa z 1994 roku oraz goryle w górach Wirunga.



Przed dziesięciu laty gościłem w Polsce znajomego Rwandyjczyka. Objeżdżaliśmy klasyczny tour de Pologne, gdy w pewnym momencie zapał z zachwytu: – Ależ prosta

droga! – Prosta, a jaka ma być, skoro jesteśmy na Mazowszu – odpowiedziałem w niezrozumieniu. Od siedmiu lat jeżdżę po rwandyjskich drogach i zaczynam rozumieć ów zachwyty.

Niektórzy nazywają ten kraj regionem tysiąca wzgórz. Jan Paweł II sparafrazował to sformułowanie. Przybywając tu jako pielgrzym, powiedział, że Rwanda jest krajem tysiąca problemów, ale i tysiąca rozwiązań. Mnie zaś od jakiegoś czasu ten kraj odsłania się jako kra-ina tysiąca zakrętów. Przemierzając Rwandę z północy na południe i ze wschodu na zachód,

już ich nie liczę, ale jeszcze jestem ciekaw, jaka niespodzianka pojawi się za kolejnym.

W DRODZE

Jadąc drogą, można już zobaczyć co nieco, choć niewiele, a z pewnością niewystarczająco. Poruszając się publicznymi środkami lokomocji, zdobywa się niezastąpione doświadcze-

Maciej Jaworski

Kraj tysiąca zakrętów



FOT. FRYDERYK JAWORSKI

ROWER NIE CAŁKIEM OKEJ

W ten sposób transport odbywa się już tylko na prowincji. Wjazd rowerem do centrum stolicy jest zakazany, a rowerowe taksówki mogą pracować tylko na przedmieściach.

nie. Nie będąc wyizolowanym, można poczuć miejscową, specyficzną atmosferę. Liniowymi autobusami da się dojechać prawie wszędzie. Rwanda to mały skrawek ziemi, niezwykle gęsto zaludniony, a transport jest dobrze zorganizowany. Autobusy na głównych liniach między dużymi miastami odjeżdżają punktualnie, jak w Szwajcarii pociągi na linii Fryburg–Genewa, co pół godziny.

Co widać za kolejnym zakrętem? Po pierwsze, od ubiegłego roku są nowe tablice drogowe. Teraz wiadomo, po jakiej drodze się jedzie, jaki ma numer, dokąd prowadzi i gdzie można z niej zjechać. Do znaków już się przyzwyczai-

łem, trudniej jest z nazwami miejscowości, bo ostatnio kompletnie się pozmiały. Gdy wracam do domu, to już nie do Butare, ale do Huye; gdy jadę spotkać znajomych, to już nie do Ruhengerii, ale do Musandze; gdy planuję odwiedzić więźniów, to już nie w więzieniu Gitarama, ale Muhanga. Nowa ekipa, która przejęła władzę, zmienia w kraju wszystko, by już nic nie kojarzyło się z tym, co było przed 1994 rokiem. Co przed ludobójstwem, to złe, bo zakazane wirusem *esprit genocidaire*, ducha ludobójstwa. Zmienił się hymn państwowy, flaga, waluta i właśnie nazwy administracyjne miast i regionów.

Za następnym zakrętem kolejne podobne budynki, już nie lepianki pod strzechą, ale kryte blachą lub dachówką z podobnymi wszędzie zadaszeniami. To nie tradycyjny styl budownictwa rwandyjskiego, ale narzucony przez rząd, nowy i obowiązkowy styl budowania przy drodze głównej. Odpowiednia odległość, trawnik przed budynkiem z odpowiednimi kwiatami, w odpowiednim kolorze. Na niektórych budynkach zobaczyć można jeszcze napis *tora*, ze znakiem krzyża w dziwnej formie. To nie domowa kaplica pobożnych chrześcijan, ale budynek do wyburzenia, który nie spełnia rygorystycznych wymogów nowego porządku.

idealną okazją do wyrównania sąsiedzkich porachunków, a pod przykrywką oskarżeń o ludobójstwo pozbywano się niewygodnych sąsiadów. Dziś podróżując autobusem, mogą usłyszeć, ile zarabia Messi i kiedy zmieni klub Beckham, ale trudno dowiedzieć się od sąsiada, jak mu się żyje. Ta rezerwa rzuca się w oczy szczególnie tym, którzy podróżowali po innych krajach Afryki. Tu jest inaczej.

Ciekawe rzeczy można zaobserwować również nocą. Coraz trudniej dostrzec z daleka, jeszcze niedawno królujące na ciemnych wzgórzach, anteny transmisyjne sygnału komórkowego. Czerwone światła bezpieczeństwa były prawie jedynymi punktami świecącymi w ciemnej okolicy. Dziś trzeba się wpatrywać, by móc je zobaczyć. Stopniowo oświetlane miejscowości rozbijają nieprzeniknione afrykańskie mroki. Kraj wychodzi z ciemności, dzięki chińskim energooszczędnym żarówkom.



FOT. FRIDERYK JAWORSKI

WODA NA GAZIE

Jezioro Kivu w miejscowości Kibuye. Jego wody są mocno nasycone metanem i dwutlenkiem węgla. Niedawno Amerykanie rozpoczęli tutaj eksploatację gazu.

W autobusie króluje jedyny słyszalny głos, ten z radia. Prawie nikt nie rozmawia, chyba że przez komórkę. To obraz dzisiejszej Rwandy, rozwijającej się technologicznie, infrastrukturalnie, jednocześnie zatracającej spontanicznie i ufne relacje. Wydarzenia historyczne, niedawne wojny i ludobójstwo zrobiły swoje. Narzucany administracyjnie proces pojednania dopełnił dzieła.

Jeszcze kilka lat temu, nawet z okien autobusu, można było zobaczyć zebrania czwartkowe – wioskowe sądy *gaccaca*. W założeniu miały one odnaleźć w lokalnej społeczności i osądzić ludobójców, ale często stawały się

często zauważa się napis *urwibutso*, czyli memoriał. To miejsca zbiorowych mogił ofiar niedawnego ludobójstwa. Nie można podróżować po Rwandzie i nie zauważyć tych szczególnych budowli, ogrodzonych i bardzo zadbanych przestrzeni. Obowiązkowy coroczny podatek, płacony w kwietniu przez każdego mieszkańca kraju, przeznaczony jest na utrzymanie tych miejsc pamięci i rzeczywiście są one pieczołowicie strzeżone i zadbane. Wszędobylskie napisy przypominają: *never again, plus jamais, ntibigasubire narimwe*.

Grobowce usytuowane są w różnych miejscach, często historycznie uzasadnio-

NIGDY WIĘCEJ

Gdy podróżuje się swoim samochodem, warto czasami zatrzymać się. Oczywiście także dla uroczej fotki, bo tu każde miejsce jest fotogeniczne i jedyne w swoim rodzaju, z oryginalną linią zarysowanych wzgórz.

Przy głównych drogach



W KOLEJCE PO ZDROWIE

Szczepienie dzieci w miejscowości Nyakinama. W Rwandzie ponad 97 procent nowo narodzonych dzieci otrzymuje szczepionkę przeciwko chorobie Heinego-Medina. W ciągu kilkunastu lat liczba zachorowań na polio spadła o 99 procent.

nych, gdzie rzeczywiście pochowano setki ciał z okresu kwiecień – lipiec 1994. Czasami są w miejscach widocznych, by kłuły w oczy. Niejednokrotnie jednak zdarzało się, że kości przewożono w miejsca, gdzie ludobójstwa nie było, aby objąć siecią grobów cały kraj. To misja obecnej administracji: budować nową tożsamość, przypominając o ludobójstwie w każdym zakątku kraju, nawet tam, gdzie ofiary nie pochodziły z czasu owych 100 dni.

Może też się zdarzyć, że robiąc zdjęcie na północy kraju, nieświadomie uchwyci się miejsce, o którym tylko mieszkańcy wiedzą, że to grobowiec ukryty w lesie, ale nie mogą tego nikomu powiedzieć. Nie ma tam wybudowanego pałacyku, ogrodzenia obsadzonego pięknymi kwiatami, napisu, nic. Bo to kości politycznie niepoprawne...

PAPIEŻ I ŚW. FAUSTYNA

Jest kilka miejsc przy głównej trasie, które mówią o Polsce. Nie tyle zakurzona polska

flaga wywieszona przy siedzibie honorowego konsula, ale przede wszystkim ślady obecności Jana Pawła II. Wielki obraz Rodaka znajduje się na dziedzińcu olbrzymiego sierocińca w Mbare. W tym miejscu we wrześniu



ŚWIĄTYNIA PAMIĘCI

Wnętrze kaplicy w Ntarama. W kwietniu 1994 roku zginęło tu ponad 5 tysięcy osób z plemienia Tutsi. Napis w języku kinyarwanda głosi: „Jeśli znałbyś naprawdę siebie i mnie – nie zabiłbyś mnie”.

1990 roku, na trzy tygodnie przed wybuchem wojny, odprawił on mszę świętą dla tłumów rwandyjskich katolików. Po ludobójstwie z osobistej inicjatywy Ojca Świętego zbudowano – wokół papieskiego ołtarza –



FOT. SHUTTERSTOCK

LEPSZE CZASY

Populacja goryli górskich ucierpiała w czasach, gdy padały one częstym łupem kłusowników. Dziś w Rwandzie są pilnie strzeżone. Góry Wirunga to, poza Nieprzeniknionym Lasem Bwindi w Ugandzie, jedyne miejsce na Ziemi, gdzie żyją te zwierzęta.

Maciej Jaworski, karmelita bosy, od siedmiu lat jest misjonarzem w Rwandzie. Pełni posługę w domu rekolekcyjnym w Butare.

cité de la paix (miasto pokoju), Nazaret. Dziś mieszka tam i wychowuje się kilkaset sierot.

Jednak to nie Jan Paweł II jest najbardziej znanym Polakiem w Rwandzie, a prosta siostra zakonna, św. Faustyna Kowalska. W każdej wiejskiej kaplicy znajduje się kopia obrazu z krakowskich Łagiewnik. W Ruhango, kilkaset metrów od głównej drogi, warto odwiedzić centralne miejsce Kultu Miłosierdzia, gdzie imię Polki odmienia się przez wszystkie przypadki. Jej teksty rozpowszechnione zostały na cały kraj. Jest ona jedynym polskim autorem tłumaczonym i czytany w języku kinyarwanda. Co pobożniejsi znają jej teksty na pamięć.

DLA TURYSTÓW I DLA PIELGRZYMÓW

Do Rwandy turyści przyjeżdżają z reguły z dwóch powodów. Pierwszym są goryle wyso-

kogórskie, które można podziwiać za 750 dolarów za godzinę, już po 45 minutach marszu od asfaltowej drogi. Drugim jest chęć zobaczenia kraju, gdzie wydarzyło się najkrwawsze ludobójstwo końca XX wieku. Miejsca symbole *urwibutso* są także łatwo dostępne i w zasięgu, ale wymagają dłuższego postoju i zastanowienia.

Wstrząsające wrażenia niesie zwiedzanie kościołów i szkół symboli. Nie wyróżniają się one ani architekturą, ani wiekowością, ale tym, co wydarzyło się w nich w kwietniu 1994 roku. Świątynie stały się miejscami masakry tysięcy wiernych, którzy szukali w nich schronienia. Kilka z nich, jak Nyamata, Ntarama, Nyanze, stało się muzeami, a reszta po rekonsekracji służy wiernym do modlitwy. Jest to temat trudny, z którym jednak warto się zmierzyć, by rzeczywiście dotknąć okropieństwa tego, co na tej ziemi wydarzyło się raptem przed 18 laty.

Zatrzymując się dłużej w wiosce, spotka się z pewnością ludzi, którzy opowiedzą ze szczegółami, co stało się w ich kościele. To nie przewodnik wycieczony na pamięć kilku kwestii wprowadzi najlepiej w realia wydarzeń, ale ci prości świadkowie.

Miejscem, które coraz więcej turystów i pielgrzymów zwiedza, jest mała wioska w najbiedniejszym regionie kraju, Kibeho. Przyjeżdżają tam samochodami, motorami, rowerami i przychodzą pieszo ludzie z całego świata. Ostatnio gościłem trójkę Polaków na rowerach, którzy koniecznie chcieli zajechać do tego miejsca. To Maryjne Sanktuarium Objawień Matki Bożej Bolesnej, jedyne na całym kontynencie, gdzie Kościół katolicki uznał objawienia za prawdziwe. Można tu jeszcze spotkać Nathalie – widzącą, świadka tamtejszych wydarzeń z lat 1980.

Od kilku miesięcy do tego miejsca z Gietrzwałdu pielgrzymuje pewien młody mężczyzna. Za kilka lat przywitamy go chlebem i solą, gdy wyłoni się zza ostatniego zakrętu przed sanktuarium.

Resztę miejsc godnych zatrzymania się na dłużej podpowie przewodnik. Ja zaś na koniec



FOT. FRYDERYK JAWORSKI

doradziłbym turyście przybywającemu do nas w odwiedziny, aby zamiast zestawu lekarstw przeciw malarii i wszystkich „przyrządów antykomarowych”, zabrał dodatkowo zapas aviomarinu. O komary u nas trudno, bo to kraina górzysta i stosunkowo chłodna, ale zakrętów to Pan Bóg nam nie pożałował. ○

NYANGE WE MGLE
Symboliczny pomnik przy zburzonym kościele. Również tutaj w 1994 roku miała miejsce masakra.

REKLAMA

KONKURS FOTOGRAFICZNY „ŚWIAT JEST PIĘKNY – POZNAJ ŚWIAT”

Poznaj Świat
MIESIĘCZNIK



Miesięcznik Poznaj Świat oraz portal PlaceKnow.com zapraszają do wzięcia udziału w konkursie fotograficznym „Świat jest piękny – Poznaj Świat”. Zachęcamy do nadsyłania pięknych, niebanalnych zdjęć z podróży. Zdjęcia przesłane na konkurs muszą spełniać dwa wymogi: odpowiadać hasłu „świat jest piękny” i spełniać warunek „wiem, co widzę”.

SZCZEGÓŁY ORAZ REGULAMIN KONKURSU DOSTĘPNE NA:

PlaceKnow.com/konkurs-poznajswiat

TERMIN NADSYŁANIA ZDJĘĆ OD 22 LUTEGO 2013 R. DO 30 KWIETNIA 2013 R.

OGŁOSZENIE WYNIKÓW 10 MAJA BR.

PATRONI MEDIALNI:

SKAUBING.PL
portal ludzi aktywnych

RADIOTRAVEL

Wyobraźmy sobie miasto, którego place i ulice pachną, jakby rozpylono eleganckie perfumy o woni delikatnej, owocowej. Pośród nich, w słońcu Południa, przechadzają się piękne kobiety w bajecznie kolorowych sukniach, z kwiatami we włosach. To hiszpańska Sewilla. Tylko trzy godziny lotu z Warszawy.



Agata Grendowicz

MIASTO KWITNĄCYCH POMARAŃCZY





FOT. AGATA GREGOROWICZ

ATAK KLONÓW NA SEWILLĘ

Plac Hiszpański to założenie urbanistyczne zrealizowane w 1928 r. specjalnie na wystawę iberoamerykańską. Jego architektura do dziś inspiruje filmowców. Nagrywano tutaj między innymi sceny do filmu „Gwiezdne wojny: Część II – Atak klonów”.

Wysiadłam z auta przed domem moich hiszpańskich przyjaciół i od razu poczułam to niesamowite powietrze. Był kwietniowy wieczór, w Polsce nadal chłodno i szaroburo, a tutaj – jak w pełni udanego lata. No i ten niesamowity zapach... Tysiące, miliony kwiatów pomarańczy! Ulice i place w Sewilli są obsadzone szpalerami owocowych drzewek, które kwitną dwa razy do roku. Przez tydzień drobne delikatne kwiaty, nagrzone śródziemnomorskim słońcem, roztaczają wkoło przepiękny aromat.

WIELKA FIESTA PO WIELKANOCY

Położona w sercu Andaluzji, na rozległej równinie nad rzeką Gwadalkiwir, Sewilla kojarzy się z ogromną gotycką katedrą. Jest to miasto o przebogatej historii, barwnej kulturze i pieczołowicie pielęgnowanych tradycjach. Ucho-

dzi też za stolicę snobizmu i bufonerii. Tu nikt nie dziwią przemykające ulicami stylowe powozy, w których wytworni woźnice w czarnych kapeluszach z szerokimi rondami wiozą damy w czarnych krynolinach i mantylach – całkiem jak z obrazów Velázquez. Damy i dżentelmeni to miejscowa arystokracja, często spokrewniona z panującymi rodami Europy.

Termin mojego przyjazdu został zaplanowany tak, abym mogła zobaczyć jedną z najsłynniejszych festi w Hiszpanii – wielkie święto Sewilli, zwane Feria de Abril. Co roku, dwa tygodnie po Wielkanocy, życie stolicy Andaluzji przenosi się poza centrum – na rozległy, piaszczysty teren nad rzeką. Tam przez siedem dni mieszkańcy spotykają się, spędzając czas na wspólnym biesiadowaniu i tańczeniu wywodzącym się z tradycji flamenco *sevillanas*.

Świąteczny tydzień zaczyna się o północy. Tłumy mieszkańców zbierają się wówczas przed wielką bramą wejściową na teren Ferii.



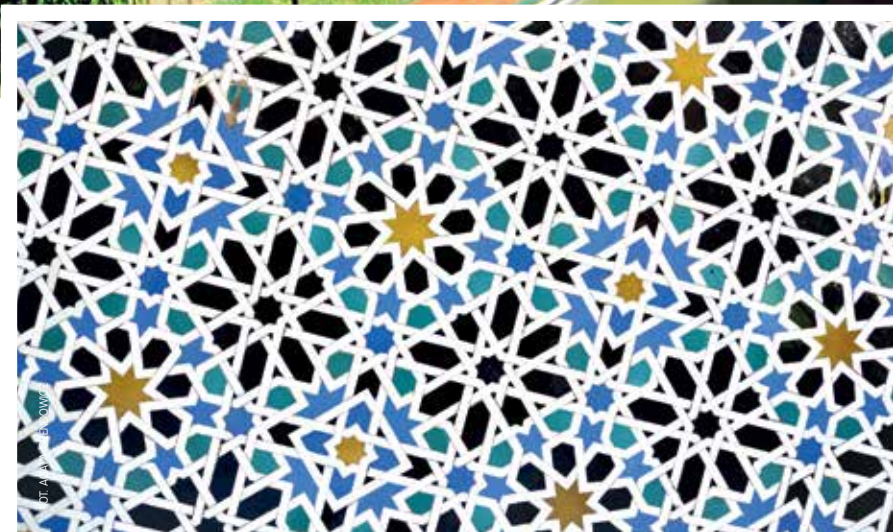
REALES ALCÁZARES...
 ...czyli Pałac Królewski. Rozbudowany został w XIV wieku w stylu *mudejar*, łączącym elementy architektury gotyckiej z ornamentami typowymi dla islamu.

FOT. SHUTTERSTOCK

Bramę tworzą tysiące światełek, układających się w jeden z tradycyjnych symboli związanych z historią bądź kulturą Sewilli. Temat przewodni dekoracji świetlnej zawsze pozostaje tajemnicą aż do chwili rozbłyśnięcia lampek.

Na terenie jarmarku, wzdłuż wytyczonych ulic noszących imiona najsłynniejszych torreadorów tutejszej areny, ustawione są setki wielobarwnych namiotów zwanych *casetas*. Wstęp do ich wnętrza jest zarezerwowany dla członków specjalnych klubów i stowarzyszeń. Przez to impreza nie nabrała charakteru masówki dla turystów, lecz zachowała lokalny koloryt i nieco elitarny charakter.

Dzięki moim hiszpańskim przyjaciołom mogłam uczestniczyć w Ferii i w jednym z *casetas* tańczyć *sevillanas* do utraty tchu. Ubrana w tradycyjną suknię flamenco, popijając *tinto verde* – rodzaj ponczu z białego wina – stałam się swoistą atrakcją dla „tubylców”, jako jedyna nie-Hiszpanka w tym towarzystwie.



FERIA MODY

Trzeba przyznać, że atmosfera Ferii jest nieopowtarzalna. Mnie także udzieliła się tutejsza euforia zabawy. Może dlatego w dusznym wnętrzu namiotu nie czułam wcale ani zmęczenia, ani osiadającego na ciele i ubraniu kurzu. Po kilku godzinach spędzonych na piaszczystym terenie piękne suknie pań i eleganckie

CERAMIKA PAŁACOWA

Sewilla do XVII wieku słynęła między innymi z produkcji ceramicznych płytek *azulejos*. Wielobarwne, geometryczne mozaiki z tych kafelków zdobią wnętrza Pałacu Królewskiego.



FOT. SHUTTERSTOCK

garnitury panów pokrywa warstwa wszechobecnego żółtego pyłu. Dlatego też niektóre ze stałych bywalczyń mają po kilka kreacji na zmianę – od sukni, poprzez rozmaite dodatki, jak chusty, kwiaty czy grzebień wpinane we włosy.

Sewillskie elegantki nie wstydzą się swoich barwnych tradycji i folkloru. Zarówno podczas Feria de Abril, jak i innych świąt, pa-

nie w wieku od lat dwóch do osiemdziesięciu z wdziękiem przechadzają się po całym mieście w sukniach flamenco. Na nogach mają obowiązkowe espadryle na koturnach związane w kostce lub też specjalne buty do tańczenia flamenco. Kobiетки w wieku „wózczkowym” wystrojone są w kolorowe, falbaniaste sukieneczki. Od bogactwa barw, fasonów, kreacji może zakręcić się w głowie.

SIEDEM DNI ŚWIĘTOWANIA

Feria de Abril, odbywająca się na otwartej przestrzeni, to wielkie święto miasta i jego mieszkańców.



FOT. AGATA GRENOWICZ



PIĘKNA RZEŹNIA

Plaza de Toros de la Maestranza to najstarsza w Hiszpanii arena corridy.

Suknie i potrzebne do szczęścia akcesoria można kupić na każdym kroku – w eleganckich butikach na handlowej promenadzie Calle de las Sierpes, gdzie ceny sięgają kilku tysięcy euro, aż po wielkie domy towarowe dla zwykłych ludzi. Na ogromnym, specjalistycznym stoisku w popularnym El Corte Ingles eksponowane są setki modeli w całkiem przystępnych cenach. Oprócz tradycyjnych sukni w grochy można tu także znaleźć współczesne wariacje w pseudodesignerskie czy psychodeliczne wzory albo kombinacje z wystrzępionego dżinsu i koronek.

ANDALUZYJSKIE MUST SEE

Po nocnych szaleństwach i atrakcjach wielkiego jarmarku przychodzą ciepłe dni przesycone wonią pomarańczy, które poświęcić można historii i wspaniałej kulturze miasta.

Do najsłynniejszych zabytków należy oczywiście monumentalna katedra, której gotycka bryła przed wiekami rozsiadła się w centrum miasta. W odróżnieniu od powszechnie znanych i kojarzonych z gotycką architekturą strzelistych świątyń Północy, bryła sewillskiej katedry jest przysadzista i zaskakuje ogromem powierzchni. Nad kościołem góruje słynna dzwonnica, La Giralda – pozostałość po wiel-

kim meczecie Almohadów, dawnych władców Andaluzji. Na stumetrową wieżę prowadzi system ramp, bo dawniej na szczyt minaretu (dzwonnicy) wjeżdżano końmi. Dziś, niestety, nie jesteśmy tak uprzywilejowani, ale trudy wspinaczki na La Giralde wynagradza wspaniały widok miasta.

Przed dalszym zwiedzaniem warto chwilę odpocząć wśród owocowych drzewek na katedralnym Patjo de los Naranjos (Dziedzińcu Pomarańczy). Tuż obok katedry znajduje się

ŁAŹNIE KRÓLEWSKIEJ KOCHANKI
Zbiorniki na deszczówkę, znajdujące się w Pałacu Królewskim, nazwane zostały Łazienkami Marii Portugalskiej na cześć kochanki króla Piotra I Okrutnego.



CICHE GODZINY

W czasie sjęsty uliczki i restauracje starego miasta pustoszeją, by ożywić się dopiero późnym wieczorem.



też wejście na teren Reales Alcázares – wspinał się na teren pałacu króla Piotra I Okrutnego, wybudowanego w II połowie XIV wieku w stylu mudejar. Arabska rezydencja katolickich królów to bogato zdobione apartamenty, koronkowe fasady oraz – przynoszące wytchnienie od żaru południa i gwaru miasta – ogrody z szmerzącymi fontannami, sadzawkami i egzotyczną zielenią.

Dla spragnionych mocnych wrażeń jest jeszcze corrida, która odbywa się każdego świątecznego popołudnia w tutejszej arenie – słynnej w całym kraju Plaza de Toros de la Maestranza. Wbrew pozorom, jest to rozryw-

w całej Hiszpanii tapas, czyli przekąski, zostały podobno wynalezione właśnie w Andaluzji. Wybór jest ogromny – oprócz tłustych, acz niezmiernie smakowitych przysmaków kiełbasianych, serwuje się ostre sery, panierowane kalmary, krewetki, kawałeczki słynnej suszonej szynki serrano i inne specjały, podawane z twardymi krakersami bądź pieczywem.

Chcąc żywić się zgodnie z lokalnymi zwyczajami, po przekąszeniu około godziny 13.00 pysznych tapas, trzeba dotrzeć do 22.00-23.00, kiedy to zasiada się do głównego posiłku dnia. Wybór restauracji w Sewilli jest ogromny. Można tu zjeść przysmaki regionalne, będące wspa-



FIESTA I FLAMENCO

Uczestnicy Ferii tańczą flamenco we wnętrzu jednego z namiotów *casetas*.

ka niezwykle elitarna: obowiązują tu elegancie stroje, a towarzystwo lokalnych notabli i arystokracji jest zapewnione.

Koniecznym jest przejść się wąskimi uliczkami Barrio de Santa Cruz – dawnej dzielnicy żydowskiej. Skala małych, pobielanych domków i cieniste patia tonące w zieleni pozwalają na chwilę wyłączyć się z szaleństwa fiesty. Prywatności tych uroczych posesji strzegą kute, zdobione kraty.

OBŻARSTWO NA NOC

Wszechobecna komercja dotarła i tutaj w postaci małych sklepików z pamiątkami. Można sprawić sobie pluszowego byczka, plastikową tancerkę flamenco bądź skorzystać z bogatej oferty któregoś z barów tapas. Popularne

niała mieszanką kuchni wszystkich nacji, które przez wieki zamieszkiwały południe Hiszpanii, a także dania kuchni z różnych stron świata. Wielką popularnością wśród mieszkańców cieszy się restauracja kubańska oraz położony poza centrum lokal specjalizujący się w daniach z Wysp Kanaryjskich, podawanych ze słynnym w całym mieście pikantnym sosem *mojo*.

Po tak dużej dawce kalorii należy znów przetańczyć całą noc przy dźwiękach *sevillanas*, wśród pięknych dziewcząt oraz Hiszpanów o ognistych temperamentach.

Potem nad brzegami Gwadalkiwiru wstanie leniwie kolejny dzień, aby wolnym, śródziemnomorskim tempem potoczyć się aż do popołudnia. Wtedy to mieszkańcy Sewilli całymi rodzinami wylegną znów na pachnące place i ulice. ○

Justyna Kucharska

SEN O INDOCHINACH





Przed wiekami kwitł tu handel jedwabiem. Dziś nikt nie wyjeżdża stąd bez szytej na miarę sukienki czy garnituru. Zakłady krawieckie są niemalże na każdym rogu i chyba nie ma stroju, którego nie można zamówić. Jednak miejsce to przyciąga turystów przede wszystkim pięknymi zabytkami i relaksującą atmosferą.



FOT. JUSTYNA KUCIARSKA

ZAMULONA ŚWIETNOŚĆ
Niegdyś port Hoi An, leżący przy ujściu rzeki Bon, gościł statki handlowe z Europy i Azji. Dziś po coraz bardziej zamulonej i zapiaszczonej rzece pływają głównie łodzie wycieczkowe i nieduże jednostki rybackie.

Hoi An to jedno z najchętniej odwiedzanych miejsc w Wietnamie. W kraju, w którym bardzo wiele zabytków zostało zniszczonych podczas wojen, to miasto jest prawdziwą perełką – ze swoimi piętnastowiecznymi pagodami, lampionami i domami chińskich kupców.

Miasta gęsto zaludnionego Wietnamu są chaotyczną mieszaniną betonu i blachy falistej, sklepików, domów i warsztatów. Niekończące się osady poprzetykane są kuriozalnymi projektami współczesnych deweloperów. Na tym tle Hoi An sprawia wrażenie romantycznego snu o Indochinach. Historyczne budynki są dobrze zachowane i z powodzeniem pełnią funkcję pamiątek po mieście portowym, w którym przed wiekami dochodziło do spotkań wielu kultur.

Wartość historyczna tego miejsca jest znacząca, a poza tym jest tu po prostu bardzo przyjemnie. Nazwę miasta tłumaczy się zresztą jako „spokojne miejsce spotkań”.

OCALENIE PRZEZ ZAPOMNIENIE

Hoi An zostało założone w II wieku przed naszą erą, a pozostałościami tych czasów są zachowane fragmenty naczyń, narzędzi i biżuterii. Część z nich jest udostępniona zwiedzającym w muzeach miasteczka. Bardziej interesujący z perspektywy zwiedzających jest jednak okres przypadający na XV-XVI wiek. Wtedy miasto kwitło jako istotny węzeł na

międzynarodowym szlaku handlu jedwabiem. Przetaczali się przez nie przybysze z Azji i Europy. Częstymi gośćmi w porcie byli Portugalczycy, osiedlili się też kupcy japońscy.

Miasto leżało na trasie statków handlowych z Chin, Indii, Tajlandii, a oprócz jedwabiu handlowano również ceramiką i przyprawami. Takich portów w Azji południowo-wschodniej było sporo, także na terytorium dzisiejszego Wietnamu. Jednak tylko w nielicznych udało się ocalić cenne zabytki. Tutaj ewenementem jest bardzo dobrze zachowany układ miasta.

Co sprawiło, że właśnie ten port uniknął dużych zniszczeń i mógł zostać zaklasyfikowany do skarbów światowego dziedzictwa kulturowego? Paradoksalnie, przyczynił się do tego jego schyłek w XVIII wieku. Czasy rozkwitu portu i miasta przypadły na okres panowania dynastii Nguyen, ale rewolucja polityczna, która przyniosła kres ich rządów, wywróciła też do góry nogami handel zagraniczny. Wtedy kluczowym portem stał się, leżący nieopodal, Da Nang. Nie bez znaczenia był też proces zamulania rzeki, u wylotu której leży Hoi An.

Miasto przerodziło się w zapomnianą, marginalną osadę. To dzięki temu właśnie jest dziś ono tak piękne i nietknięte przez różne trendy w architekturze ostatnich dwustu lat. Jest w tym też duża zasługa pewnego Polaka. W 1980 roku do Hoi An przybył architekt i konserwator zabytków Kazimierz Kwiatkowski. Przez 17 lat nadzorował on prace

konserwatorskie w ruinach świętego miasta umarłej kultury Czamów w My Son. Gdy dowiedział się, że władze mają plan przebudowy starych budynków w Hoi An na nowoczesne, zrobił wszystko, by tak się nie stało. To dzięki Kazikowi – tak nazywali go Wietnamczycy – w dwa lata po jego śmierci miasto mogło zostać wpisane do rejestru zabytków światowego dziedzictwa UNESCO.

NA JAPOŃSKIM MOŚCIE

Podobno buddyzm i chrześcijaństwo przedostały się do Wietnamu właśnie przez Hoi An. Chrześcijańscy misjonarze pojawili się w mieście w XVII w., a byli to głównie Europejczycy oraz garstka dopiero co ochrzczonych chrześcijan z Japonii. O ile w zabytkach starej części miasteczka nie ma wielu śladów po chrześcijaństwie, o tyle Japończycy upamiętnili się tutaj dzięki unikatowemu krytemu mostowi, znanemu powszechnie jako Most Japoński.



ŁADNA PAGODA NA SPOTKANIE
Pagoda Phuoc Kien została zbudowana pod koniec XVII w. i służyła za miejsce spotkań kupcom chińskim.

nych pagod. W Hoi An znajdziemy m.in. te poświęcone legendarnym chińskim bohaterom, bogom taoistycznym, bogini morza The-



EKLEKTYZM DALEKIEGO WSCHODU
Wśród licznych zabytków miasta znajdują się domy i świątynie inspirowane architekturą chińską i japońską.

Na jednym jego końcu znajduje się rzeźba psa, na drugim małpy – to zwierzęta występujące w japońskim zodiaku. Nie ma pewności, kto zbudował kryty most, ale mówi się, że jego budowa została rozpoczęta właśnie w roku psa, a zakończona w roku małpy.

Elementy japońskiej symboliki można również odnaleźć w niektórych spośród lic-

in Hau, zmarłym przodkom i Konfucjuszowi. A wszystkie obok siebie, w centrum starego miasta. Często w jednej świątyni znajdują się miejsca dla Buddy, Konfucjusza oraz innych postaci kultu. Niektóre z tych budowli pełniły funkcje podwójne, służąc na przykład za miejsce spotkań społeczności chińskiej.



HAND MADE HIT

Ręcznie robione lampiony to typowa dekoracja wietnamskich domów, a zarazem jedna z najchętniej kupowanych przez turystów pamiątek.



FOT. JULIA MICHALCZEWSKA

HANDEL OBNOŚNY, KRAWIECTWO DOWOLNE

W podobny sposób, jak te kwiaty, sprzedawane są tutaj owoce i przekąski. W tle widać wystawę jednego z dziesiątków zakładów krawieckich, w których za niewielkie pieniądze można zamówić dowolny strój.

EKSPRESOWE SZYCIĘ NA MIARĘ

W historycznych domach urządzono kawiarnie, sklepiki oraz różne punkty obsługi turystów. Jeszcze przed moim przyjazdem co najmniej kilka osób wspominało, że owszem, jest tam wspaniała atmosfera, odpoczynek od wietnamskiego hałasu, ale też świetne miejsce na zrobienie zakupów, a nawet uszycie butów, garniturów, płaszczy czy sukienek.

I tak, na przykład, spotkałam w Hoi An tancerza tango z Nowego Jorku, który w Wietnamie sprawił sobie komplet szytych na miarę butów do tańca oraz garniturów. Nikt raczej nie przyznaje się, że jedzie tu specjalnie do dobrego szewca czy krawca, ale jednak są oni kojarzeni z tym miastem prawie tak samo, jak zabytki.

Produktem charakterystycznym dla tego rejonu są piękne jedwabie. Jeśli jednak chodzi o szycie na miarę, to w Hoi An nie ma ograniczeń co do tkanin czy fasonów. Możemy wybrać coś spośród prezentowanych materiałów i wzorów, albo też – po prostu – narysować sukienkę, o którą nam chodzi. Gotowa będzie nawet następnego dnia.

ŚWIAT ZA RZEKĄ

Mamy do czynienia z miastem pełnym zabytków, ale ta urokliwa sceneria nie jest, niestety, tłem dla lokalnego życia. W historycznej części Hoi An prawie nikt z miejscowych nie zamieszkuje, przez co ma się niekiedy wrażenie przebywania w skansenie.

Większość atrakcji turystycznych znajduje się w ścisłym centrum, na kilku uliczkach.



FOT. WIKIPEDIA / RDBYB



Aleksandra Lech
ekspert ubezpieczeń
podróżnych
w Ergo Hestia

Planując wyprawę do krajów tropikalnych, należy wziąć pod uwagę możliwe ryzyka. Od niektórych można się ubezpieczyć – warto posiadać polisę dostosowaną do potrzeb.

Podróżnicy powinni zwrócić uwagę przede wszystkim na ewentualne koszty leczenia. Ubezpieczenie powinno obejmować NNW, koszty transportu z miejsca zdarzenia, a także usługę assistance, dzięki której można w razie wypadku lub choroby otrzymać usługę zorganizowania pomocy medycznej. Ubezpieczenie kosztów leczenia pozwoli min. na leczenie typowych w przypadku takich wypraw udarów słonecznych, zatruc pokarmowych, ukąszeń i ataków niebezpiecznych zwierząt.

Należy pamiętać o szczepieniach, niektóre trzeba wykonać 6 tygodni przed wyjazdem. Warto mieć przy sobie numer telefonu do Centrum Alarmowego i numer polisy. Osoby chorujące przewlekłe powinny rozszerzyć zakres ubezpieczenia o następstwa takich chorób. Takie postępowanie jest rekomendowane zwłaszcza w przypadku różnic klimatycznych, wysokiej temperatury, różnic ciśnienia i wysiłku.

Chcąc się ubezpieczyć w Ergo Hestii na okres wyjazdu do Wietnamu, klient ma do wyboru 3 zakresy oraz rozszerzenia. W tym przypadku rekomendowana suma ubezpieczenia na koszty leczenia powinna wynieść ok 50.000 USD. Na tak daleki wyjazd zalecany jest Wariant Pełny Ubezpieczenia (Holiday Charter Plus).

POLAK POTRAFIŁ

W 2007 roku odsłonięto w Hoi An pomnik architekta Kazimierza Kwiatkowskiego, który miał wielkie zasługi w konserwacji zabytków miasta. Nasz rodak działał tu w latach 1981-97.

DOSTAWCA DRZEW

W Wietnamie ilość sposobów wykorzystywania motocykli jest nieskończona.



FOT. JULIA MCHALCZEWSKA

W tej okolicy zagęszczenie gości na metr kwadratowy jest spore. Domyślamy się jednak, że osoby obsługujące cały ten ruch gdzieś na stałe mieszkają, ale ślady ich codziennego życia nie są tu widoczne. Sytuacja nieco się zmienia kilkadziesiąt metrów na wschód, gdzie znajduje się rozległy bazar z warzywami, świeżymi rybami i drobiem. Tam profil kupujących także jest już inny i zdarza się spotkać gospodynie domowe robiące zakupy dla rodziny. Ten obraz zmienia się jeszcze bardziej po przekroczeniu rzeki.

Hoi An położone jest przy ujściu rzeki Bon, a stare miasto wraz z częścią turystyczną rozciąga się na północ od jej koryta. Jedna z odnóg oddziela półwysep, na który wprost ze starego miasta przedostać się można przez malowniczy mostek. I właśnie po przekroczeniu małego mostku (a rzeka nie jest szeroka) wkraczamy w zupełnie inny świat. Na tym półwyspie tylko ulica przy nabrzeżu przypomina to, co zostawiliśmy na starym mieście. Ulica kolejna i jeszcze następne to już małe domki i pranie suszące się na podwórkach, stadka kur i chłopcy grający w piłkę. Zdarza się spotkać obcokrajowca, ale rzadko. Właśnie tutaj Wietnamczyki mieszkają.

PIĘĆ BLOKÓW KONFUCJUSZA

Choć samo Hoi An mieści w sobie wiele atrakcji, warto wybrać się również na wycieczkę po okolicy. Kilkadziesiąt kilometrów od miasta znajdują się interesujące wzniesienia, znane tutaj jako Marble Mountains. To pięć bloków skalnych, zbudowanych głównie z marmuru, które wystają z zupełnie płaskiego terenu. Ich wietnamska nazwa (Ngu Hanh Son) tłumaczona jest jako „pięć elementów”, a każde ze wzgórz nosi nazwę jednego z fundamentów filozofii konfucjańskiej: Ziemi, Wody, Ognia, Metalu i Drewna.

Ta kompozycja wzgórz wygląda niebanalnie i kryje niebanalne niespodzianki, jak choćby kompleks zabytkowych buddyjskich pagod oraz świątyń, ukrytych w tamtejszych jaskiniach i nieodnotowanych w żadnym turystycznym przewodniku.

STARA AZJA JAK ŻYWA

Odwiedzając historyczne Hoi An, możemy wiele zobaczyć i dobrze odpocząć, stykając się przy tym z prawie stereotypowym dla turystów wyobrażeniem Azji sprzed wieków. To



miasto zostało właśnie przez nich i dla nich niedawno odkryte. Dzięki zagranicznym (ale i rodzimym) gościom Hoi An wyszło z cienia zapomnienia i znów jest – jak przed wiekami – miejscem spotkań, zaś dochody z turystyki pomagają pielęgnować bezcenne zabytki.

Hoi An jest dobrym przykładem, jak zainteresowanie świata nadaje starym miejscom nową tożsamość; jak wykorzystując dziedzictwo kulturowe i łącząc je ze współczesną infrastrukturą turystyczną, można wykreować ciekawą twarz miasta. ○

MARKETING ĆWIERKANY
Ptaszek w klatce przed galerią sztuki ma zachęcać do wejścia. W taki sposób przyciągają klientów także sklepy i punkty usługowe.

REKLAMA

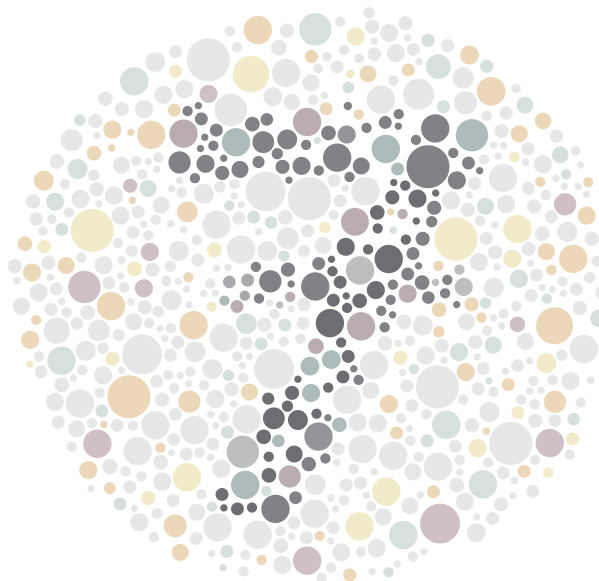


DRUKARNIA **SIEDEM**

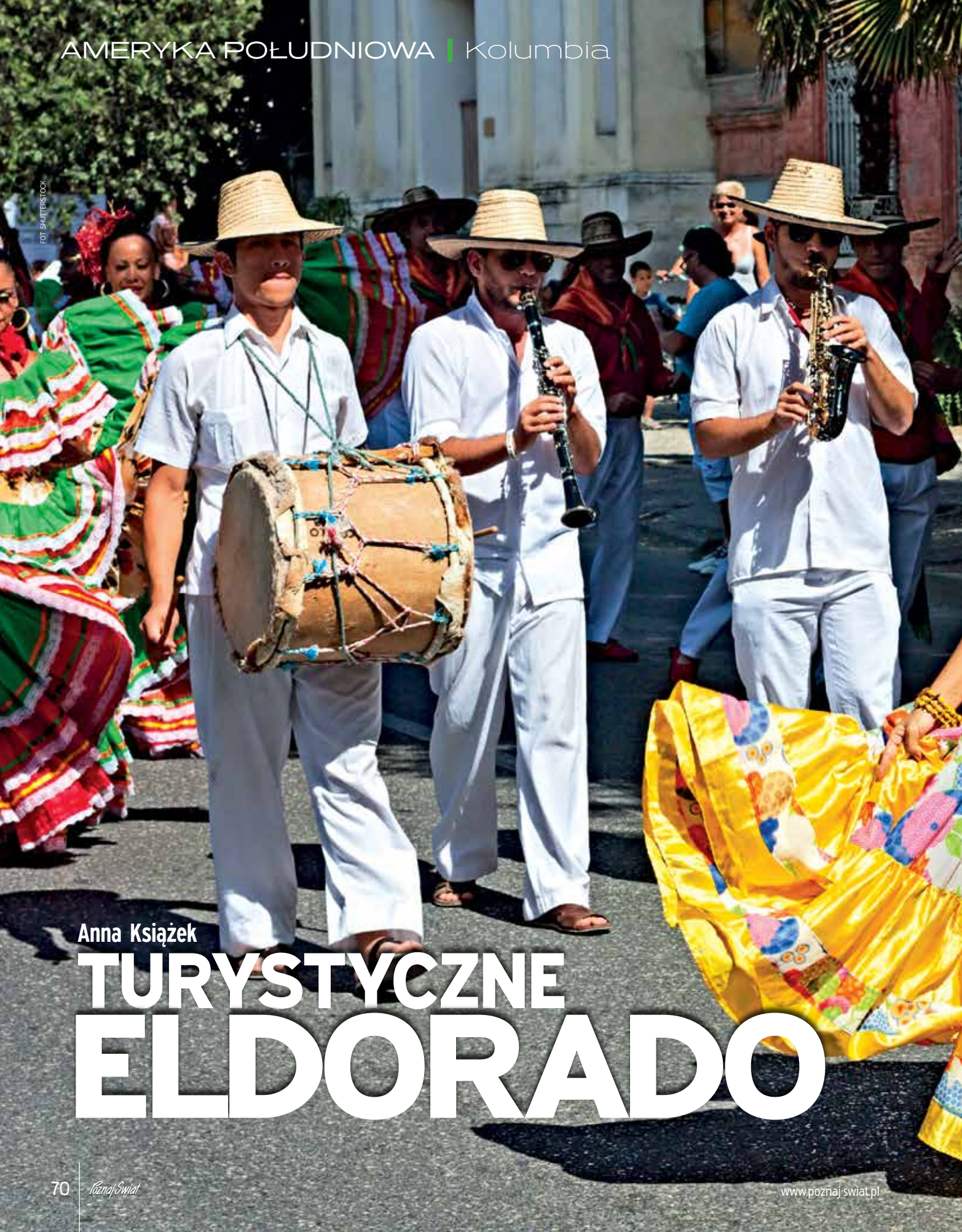
SITODRUK NA ODZIEŻY
TAMPONDruk
HAFT KOMPUTEROWY
TŁOCZENIA
ODZIEŻ REKLAMOWA
ARTYKUŁY REKLAMOWE

www.nadruki7.pl

ul. Sucha 31, 80 531 Gdańsk
kontakt: 58 343 00 57
514 974 439 i 509 195 779



WYRÓŻNIAMY SIĘ NA TLE KONKURENCJI



Anna Książek

TURYSTYCZNE ELDORADO



Kolumbia kojarzy się z zamachami, narkotykami i przemocą, a w najlepszym wypadku z kawą i Gabrielem Garcíą Márquezem. Mimo to postanowiłam sprawdzić, czy ten kraj ma coś do zaoferowania turystom.



Swoją nazwę Kolumbia zawdzięcza Krzysztofowi Kolumbowi, chociaż nigdy nie postawił on nogi na tej ziemi. W 1500 roku przybył tu od strony Morza Karaibskiego jeden z jego kompanów, Alonso de Hojeda. Zachwycił się bogactwem i opowiadaniem o El Dorado – mitycznej krainie ukrytej

pierwsze miasto – Santa Marta, a osiem lat później założona została Cartagena, zwana Złotymi Wrotami Ameryki.

HISTORIA O KRÓLU ŻŁOTYM

Moja przygoda rozpoczyna się w Bogocie, położonej na 2574 m n.p.m. To trzecia pod względem wysokości stolica Ameryki Południowej. Mieszkam w kolonialnej dzielnicy Candelaria, dziesięć minut spacerem od głównego placu, Plaza de Bolivar. Czuję się tu bezpiecznie, bogotańscy są pomocni i uśmiechnięci. Udając się w stronę Muzeum Złota, łapię w locie świeże owoce, mango, papaję i ananasa, przygotowane na ulicy i podane w plastikowych kubeczkach. Zajadam je bez strachu, bo wiem, że Kolumbijczycy dbają o jakość i czystość jedzenia. Zanim



w lesie deszczowym i otoczonej górami ze złota i szmaragdów. W 1525 roku powstało

dotrę do muzeum, skuszę się jeszcze na gorącą czekoladę z białym serem, zwaną *chocolate*

NAJPIERW BYŁA ŚWIĘTA MARTA

Katedra w Santa Marta,
najstarszym mieście
w Kolumbii, założonym
w 1525 roku.

To piąte pod względem wielkości miasto w Kolumbii. Stanowi ważne centrum ekonomiczne Karaibów, a ze względu na zabytki i piękne plaże jest popularnym kierunkiem turystycznym.



santafereno. Santa Fe to nazwa stolicy w XVI wieku, wówczas na tych terenach żyła ludność Muisca. W owym czasie ich kultura była najbardziej rozwiniętą w Kolumbii, stawianą na równi z cywilizacjami w Meksyku czy Peru. Najazd Hiszpanów uniemożliwił zjednoczenie ludów i stworzenie imperium.

Pozostałości kultury Muisca odnajdę właśnie w olśniewającym Muzeum Złota. W ulotce czytam: „Złoto wydobywane jest z ziemi, ulega przekształceniom, jest użytkowane i staje się symbolem, a następnie wraca do ziemi jako ofiara składana bóstwom”. Najbardziej spektakularnym eksponatem muzeum jest złota tratwa. Legendarny wódz Guatavita raz do roku wypływał na wody jeziora i składał ofiary, aby zapewnić ludności powodzenie w kolejnym roku. Guatavita oklejony sproszkowanym

złotem oddawał hołd bogom, wrzucając do jeziora złote ozdoby, a następnie sam zanurzał się w wodzie, przekazując bóstwom także złoty



pył. Jedna z legend mówi, że stąd wzięła się nazwa El Dorado, czyli Złoty Król.

GORĄCZKA NIE SPADA

Na zdjęciu „Złota tratwa”, najświetniejszy eksponat Muzeum Złota w Bogocie. Mimo upływu czasu w Kolumbii nadal trwa gorączka metali szlachetnych. Od początku kryzysu ekonomicznego w 2008 roku cena złota wielokrotnie wzrosła. Rozwija się też jego nielegalne wydobycie finansujące grupy *guerrillas*.



UŚPIONY MORDERCA

Wybuch Nevado del Ruiz (5321 m n.p.m.) w 1985 roku uznany został za największą katastrofę związaną z erupcją wulkanu w XX wieku. Jest on cały czas aktywny, ostatni raz przebudził się w czerwcu ubiegłego roku.

FOT. ANNA KSIĄZEK

W DRODZE NA KAWĘ

Zmierzam do regionu kawowego Manizales, wcześniej jednak odwiedzam Park Narodowy

Los Nevados. Możliwości trekkingu są ograniczone, bo wulkan Nevado del Ruiz (5321 m n.p.m.) wykazuje się aktywnością. W 1985 roku erupcja zabiła tu ponad 20 tysięcy osób, zmiatając z ziemi pobliskie miasteczko Armero.

Podziwiam krajobraz z okien mikrobusu, zaczynając podróż na wysokości ponad 2000 m n.p.m., a kończąc na 4800 m n.p.m. Rozciąga się tu paramo, strefa roślinności charakterystyczna dla Andów, w której dominują trawy i krzewy. W miarę

ARMENIA, DOM MOTYLA

Ogród Botaniczny w miejscowości Armenia to raj dla miłośników motyli. Szklany budynek w kształcie tego owada gromadzi 1500 gatunków. Do ogrodu najlepiej wybrać się w słoneczny dzień, kiedy motyle są najbardziej aktywne.



FOT. ANNA KSIĄZEK



FOT. ANNA KSOŁECKA

posuwania się w górę krajobraz staje się coraz bardziej „księżycowy”. W pewnej chwili słyszę prośbę o zatrzymanie mikrobusu – to para z wybrzeża karaibskiego, która nigdy wcześniej nie widziała śniegu, chce sobie zrobić zdjęcie. Postanawiam pokazać Kolumbijczykom polskiego orła na śniegu i po chwili wspólnie turlamy się w puchu. W drodze powrotnej zatrzymujemy się w Termales El Otoño, gorących źródeł zasilanych przez wulkaniczną wodę. Zażywając kąpeli, podziwiamy okoliczne wzgórza. Woda ma około 40 stopni, więc wytrzymuję tylko 15 minut, ale to wspaniała odmiana po zimnie wysokogórskiego parku.

Odwiedzam Rezerwat Ekologiczny Rio Blanco położony 30 minut od Manizales. Na powitanie zostają poczęstowana herbatą ze świeżo zebranych ziół i wykładem o bioróż-

norodności Kolumbii: 130 tysięcy rodzajów roślin, z czego jedna trzecia to endemiczne, 3500 gatunków orchidei itd. Staram się słuchać, ale wokół jest tak pięknie, a na nasz balkon co chwila podlatują kolibry... Moim przewodnikiem jest 12-letni chłopiec. Na spotkanie przychodzi z wiaderkiem pełnym dżdżownic na przynętę dla ptaków. Kucamy i czekamy. Po kilku minutach przylatują pierwsze z nich, a wokół lata mnóstwo motyli, których w rezerwacie jest 180 gatunków.

Kolejnego dnia odwiedzam hacjendę Juana, plantatora kawy. Plantacja leży na wzgórzach otaczających Manizales. W Kolumbii kawę zajmują się pasjonaci, uprawiają tylko najlepsze ziarna, czyli arabikę. Poznają cały proces, od momentu zbierania ziaren przez ich palenie aż po przygotowanie końcowego *tinto*,

LAS MACZUGAS

Wysokie krzewy *frailejones* w kształcie maczug występują endemicznie w Kolumbii, Wenezueli i Ekwadorze, gdzie przystosowały się do życia w surowym klimacie.

czyli kolumbijskiej małej czarnej. Dowiaduję się, że w zależności od ziemi, w jakiej rośnie, kawa może mieć różne naturalne aromaty: wanilii, kakao, jabłka czy orzechu.

WOSKOWE PALMY WE MGLE

Przejeżdżam do Salento i udaję się na wieczorny spacer po uliczkach tej niewielkiej (3500 mieszkańców) miejscowości o kolonialnej architekturze. Jest sobota, na głównym placu tańczą miejscowi, a w bocznych uliczkach można natknąć się na typowe bary, gdzie salentańczycy spędzają wieczór, grając w bilard i popijając piwo.

Poranek wita mnie wszechogarniającą zielenią i kolumbijskim śniadaniem, czyli *arepa con huevos pericos* (świeży placek kukurydziany z jajecznicą, pomidorami i cebulą), do tego oczywiście wspaniała czekolada i świeże owoce. Wybieram się do Doliny Cocory, która słynie z olśniewających widoków i gdzie rosną narodowe drzewa Kolumbii, czyli palmy woskowe. To największe palmy na świecie, osiągające

nawet 60 metrów wysokości. Trekking zajmuje pięć godzin. Od początku pada deszcz. Palmy woskowe spowite mgłą wyglądają bardziej tajemniczo niż w pełnym słońcu – pocieszam się.

INDIANIE Z KARAIBÓW

Lecę do Santa Marty, najstarszego kolumbijskiego miasta. Celem jest odwiedzenie Parku Narodowego Tayrona rozciągającego się przez 34 kilometry wzdłuż wybrzeża karaibskiego i słynącego z piaszczystych plaż, a także pozostałości kultury Tayrona. Ich cy-



PALMY JAK ŚWIECE

W Dolinie Cocory można podziwiać najwyższe na świecie palmy woskowe.

Często występują tu mgły, które sprawiają wrażenie, że drzewa sięgają chmur.



FOT. ANNA KSIĄŻEK



FOT. SHUTTERSTOCK

wilizacja rozwijała się na tych terenach od V wieku naszej ery. To pierwszy lud, który napotkali Hiszpanie w 1499 roku, to tutaj zachwycili się złotem Nowego Świata. Tayrona dzielnie walczyła przez 75 lat, aż w końcu garstka ludności opuściła pierwotne tereny i słuch o nich zaginął. Dzisiaj na terenie parku można udać się na trekking do Ciudad Perdida, czyli zaginionego miasta Tayrona, którego pozostałości zostały odkryte w 1975 roku. Ja postanawiam odpocząć na plażach.

Osada Arrecifes to trzy pola kempingowe. Widok z hamaków zachwyca: morze, palmy, piasek... Jednak nie potrafię leżeć zbyt długo, więc wybieram się na krótką wędrowkę do Pueblito, kolejnej pozostałości po ludzie Tayrona. Kiedyś była tu osada, gdzie mieszkało 4 tysiące ludzi. Obecnie potrzebna jest wyobraźnia, by w scenerii lasu deszczowego, zamykając oczy i wsłuchując się w odgłosy przyrody, przenieść się 500 lat wstecz, kiedy to ludność

Tayrona budowała swoje osady z okolicznych kamieni i stosowała tarasową uprawę ziemi. Chodząc po parku, napotykam ogromne głazy i liczne schody, które przypominają o minionych czasach. Złota już nie ma. Większość została wywieziona do XVI-wiecznej



FOT. ANNA KISZEK

Hiszpanii. Było ono przetapiane na monetę – szacuje się, że w latach 1503-1660 do Europy odplynęło 300 ton złota i 25 tysięcy ton srebra.

MARZENIE O RAJU

Cartagena to leżące nad morzem milionowe miasto ze wspaniale utrzymaną kolonialną

W PARKU TAYRONA

Ten malowniczy zakątek Kolumbii nad wybrzeżem karaibskim przyciąga pięknymi plażami i krajobrazami. Ponieważ leży pomiędzy morzem a wysokimi górami, fauna i flora jest bardzo zróżnicowana. W parku występuje ponad 100 gatunków ssaków i 300 gatunków ptaków. Zwiedzać można również ruiny osad ludów Tayrona żyjących tu 500 lat temu.



FOT. ANNA KISZEK

CODZIENIE ZDOBYWANA PRZEZ TURYSTÓW

Budowę San Felipe de Barajas rozpoczęto w XVI wieku. Początkowo był to niewielki fort, z czasem jednak przekształcił się w najpotężniejszą fortyfikację, jaką Hiszpanie wybudowali w koloniach – niezdobytą w całej swojej historii.

zabudową. Otoczone jest 13 kilometrami kamiennych murów, które powstawały przez dwa wieki, począwszy od końca XVI w., aby ochronić miasto przed atakami piratów i sztormami. Spacerując po murach, można podziwiać Morze Karaibskie, a z drugiej strony kolonialne budowle z balkonami pełnymi bugenwilli.

Udaję się do zamku San Felipe de Barajas, najsilniejszej fortecy, jaką kiedykolwiek zbudowali Hiszpanie w swoich koloniach. Zachwyca mnie system sprytnie zaprojektowanych tuneli, gdzie najdrobniejszy ruch lub odgłos jest słyszalny na drugim końcu zamku. Są tu też nisze, w których żołnierze mogli się skryć, będąc niewidziani przez ewentualnych najeźdźców. Twierdza nigdy nie została zdobyta, pomimo wielu prób. Najsławniejsze było oblężenie przez admirała Vernona z 1741 roku, gdy pod mury Cartageny przybyło 25 tysięcy żołnierzy angielskich na 186 statkach. Nie udało im się zdobyć twierdzy, której broniło dziesięć razy mniej kartageńczyków.

W przeuroczej księgarni, nad filiżanką kolumbijskiej kawy, dowiaduję się, że właśnie rozpoczyna się Międzynarodowy Festiwal Filmowy. Porzucam więc ideę odwiedzenia pobliskich plaż i dzień w dzień, a także nocą, oglądam filmy, w szczególności kolumbijskie i latynoamerykańskie. Do dzisiaj pozostaję pod wrażeniem atmosfery. Przez tydzień trwania festiwalu gdziekolwiek się udawałam, mogłam porozmawiać o kinie. Niezapomniane pozostaną też spektakle wieczorową porą pod rozgwieżdżonym niebem, z widokiem na podświetloną Cartagenę.

Kolumbia pozostawia w pamięci smak kawy i czekolady, aromat karaibskich owoców morza, ale przede wszystkim uśmiech i przyjazność ludzi. Zachwycają kolonialne miasteczka i przyroda – począwszy od poziomu morza, aż po wiecznie ośnieżone szczyty wulkanów. Kiedyś przeczytałam: „Gdyby wyeliminować przemoc i przemyt narkotyków, Kolumbia byłaby rajem”. W zupełności się z tym zgadzam. ○



ROZMOWA Z

JERZYM SKOCZYLASEM

– artystą kabaretu „Elita”, autorem programów radiowych „Studia 202”.

Z naszych wspólnych podróży pamiętam, że lubiliście występować, podróżować i biesiadować.

Tak, aczkolwiek doszliśmy do wniosku, że ideałem imprezy byłoby pojechać na tydzień występów, które by się nie odbyły, ale byłyby dobrze opłacone. Mimo wieloletniej działalności nie udało się nam dojść do tego ideału. Oczywiście, życie w podróży było bardzo ciekawe. Wędrowaliśmy głównie po drogach trzeciej kolejności odśnieżania. W późnych latach siedemdziesiątych, dokładnie 6 grudnia, jechaliśmy przez wioskę w rzeszowskim. Śnieg padał gęsto i w pewnym momencie coś wyszło z krzaków i wpadło pod nasz samochód. Był to Święty Mikołaj z pastorałem, tyle że kompletnie pijany.

W tych „zakrapianych” czasach podobnych przygód mieliście więcej.

Niedaleko Wrocławia stanęliśmy w kolejce po piwo – w tamtych czasach było ono artykułem pierwszej potrzeby. Nagle podjechała straż pożarna na sygnale i wyskoczyli strażacy z okrzykiem, że jadą do pożaru. A, jak do pożaru, to proszę bardzo, oczywiście bez kolejki...

Gdy byłeś początkującym kabareciarzem, spotykałeś ludzi jak Andrzeja Waligórski czy Jerzy Dobrowolski, który stał się kolegą, ale początkowo był dla Ciebie mistrzem. Jak się do nich odnosiłeś?

Andrzeja poznałem w klubie studenckim w akademiku, w którym mieszkalem. Wiedziałem, że jest taki pan Waligórski, który robi świetne audycje w radio – Studio 202. Przyszedł z plikiem tekstów, których miał sto tysięcy, i tak sobie od niechcienia wyjmował w ciemno. Widać było, że nie gra, nie udaje i każdy tekst był świetny, każdy następny coraz lepszy. W życiu nie przypuszczałem, że kiedyś to może być mój kolega z pracy i że będę z nim siedział biurko w biurko. Tak samo Jurek Dobrowolski. To był gejzer skojarzeniowy.

Nigdy nie zapomnę, jak ktoś go zapytał: Jurek, masz może zapalniczki albo coś?

Tak, i podał śrubokręt. Cały Dobrowol.

Wspomnijmy jeszcze Janka Kaczmarka.

Pięć lat minęło od jego odejścia. Mam ogromną satysfakcję i przyjemność, że wiele tekstów napisaliśmy razem, jak: „Do serca przytul psa” czy „Nie odlecimy do ciepłych krajów”.

On się właściwie nie nadawał na estradę.

Miał wszystkie cechy dyskryminujące go i cudownie to ogry-

wał. Ogrywał swoją niebagatelną urodę, ze wszystkiego potrafił zrobić walor. Ludzie go za to kochali.

Pamiętasz, jak go kiedyś zapowiedział Zenek Laskowik?

Powiedział do widzów: proszę nie regulować odbiorników, Jan Kaczmarek naprawdę tak wygląda. To wspaniała za powiedź.

A Janek miał dystans do siebie. Z kim jeździliście w podróże zagraniczne?

Na przykład z Heleną Vondračkovą – bardzo ciekawy mariaż. Był jakiś dysonans i rozdźwięk między Czechosłowakami i naszą Polską i podobno występy ich bardzo zbrały. Mieliśmy



zatem swój wkład w stosunki międzynarodowe. Pamiętam nasze pierwsze spotkanie z Ameryką. Przylecieliśmy w środku nocy do Chicago i rano poszliśmy zobaczyć, jak ta Ameryka wygląda. Wyszliśmy na ulicę, a tam na rowerze jechał kompletnie pijany facet i śpiewał „Jarzębina czerwona”.

Zwiedzasz wspólnie z kolegami z kabaretu?

Spędzaliśmy ze sobą znacznie więcej czasu niż z rodziną. Razem zwiedzaliśmy więc minimalnie, bo to wynikało z prostej higieny. Ale fakt, że wytrwaliśmy w tym samym składzie, poza zmianami, kiedy los eliminował kolegów, świadczy o tym, że pasowaliśmy do siebie.

Proszę o jeszcze jedną anegdotę z podróży.

Mieliśmy z Leszkiem Niedzielskim taką oto przygodę. Był szczyt kryzysu, nie było nic w sklepach, tylko liście laurowe i ocet. Wchodzimy do sklepu wiejskiego i Leszek mówi do ekspedientki: poproszę makaron. A ona: tylko dla miejscowych. Na to Leszek do mnie: widzisz, poznali nas. ◉

Marek Szpendowski – producent filmowy, właściciel agencji Viva Art. Organizował m.in. koncerty Luciano Pavarottiego, Michaela Jacksona czy zespołu The Rolling Stones. Dużo podróżuje i często zdarza mu się poznawać świat właśnie podczas delegacji, pospiesznie.



Bułgaria

PHOT. SHUTTERSTOCK

NAVIGATOR



Nasze rekomendacje na krótkie wypady



Holandia



Włochy





Średniowieczna Toskania

Siena przeżywała największy rozkwit w XII i XIII

wieku, gdy była jednym z głównych miast Europy. Z tego okresu zachowało się wiele zabytków. Do najwspanialszych należy Duomo, gotycka katedra z XIII wieku, której wnętrzu zdobią dzieła wybitnych włoskich mistrzów. Na pobliskim Piazza del Campo, który pełnił niegdyś funkcję placu targowego, znajduje się fontanna Fonte Gaia, do dziś zasilana średniowiecznym akweduktem. Warto zwiedzić Palazzo Pubblico, pałac z lat 1297-1310, w którym siedzibę ma Museo Civico, gdzie zebrano dokumenty, szkice i obrazy dotyczące Sieny. Panoramę miasta najlepiej podziwiać ze szczytu 120-metrowej dzwonnicy Torre del Mangia.



43°20'N 11°20'E

75 km na południe od Florencji.

Bułgaria Burgas



Urocze uzdrowisko

Miasto położone nad Zatoką Burgaską Morza Czarnego otoczone jest trzema jeziorami: Atanowskim, Mandreńskim i Burgaskim. Burgas jest słynnym uzdrowiskiem, znajdują się tu Łazienki Mineralne znane z leczenia chorób układu ruchowego i obwodowego układu nerwowego. Okolice uzdrowiska to przede wszystkim winnice, kwitnące ogrody owocowe i tereny zielone. Ciekawym punktem miasta jest Park Nadmorski, w którym znajduje się małe zoo i teatr. W parku stoi pomnik Adama Mickiewicza, który spędził w Burgas kilka miesięcy. Warto zwiedzić zabytkowe kościoły: prawosławną katedrę Świętych Cyryla i Metodego, kościół armenijski, cerkiew Świętej Marii Dziewicy oraz cerkiew Świętego Iwana Rylskiego.



42°30'N 27°28'E

115 km na południe od Warny.

Holandia Haga



SZTUKA I ZAKUPY

Haga leży w zachodniej Holandii nad Morzem Północnym. Miasto jest siedzibą holenderskiego rządu, parlamentu i rodziny królewskiej. Miłośników sztuki zachwyci Królewska Galeria Malarstwa, w której oglądać można prace Rembrandta, Steena, Van Dycka, Rubensa i Vermeera – ze słynną „Dziewczyną z perłą”. Znajduje się tu także „Mesdag Panorama” – obraz o rozmiarach 15 m wysokości na 130 m długości, przedstawiający wybrzeże nad Morzem Północnym. W Muzeum Miejskim podziwiać można prace Pieta Mondriana i bogatą kolekcję sztuki współczesnej.

Nietypową atrakcją jest Haagse Markt, podobno największy targ w Europie. Sprzedaje się tam głównie ubrania i jedzenie: wyborne holenderskie sery, *krentenbollen* – bułeczki z rodzynkami, *suikerbrood* – chleb z cukrem oraz ryby i owoce morza.



52°05'N 04°19'E

60 km na południowy zachód od Amsterdamu.

▼ Czechy ČESKÝ KRUMLOV

Cezary Banasiak



FOT. CEZARY BANASIAK



FOT. CEZARY BANASIAK

Malownicze położenie nad Wełtawą, strome uliczki, wąskie przejścia, liczne zaułki, kolorowe domy i fenomenalny kilkuczęściowy zamek. Wrażenia z Czeskiego Krumlova trudno opisać czy oddać na zdjęciach, koniecznie trzeba tam pojechać.

Stare Miasto, z zachowanym oryginalnym średniowiecznym układem urbanistycznym, otoczone z trzech stron wodami rzeki, to przedsmak spotkania z niezwykłym, drugim co do wielkości w Republice Czeskiej, zamkiem rozbudowywanym przez kilka stuleci. Najstarsza jego część, tak zwany Hrádek (Zameczek) lub Dolní Hrad (Dolny Zamek), pochodzi z drugiej połowy XIII wieku.

Osada należała wówczas do rodziny Vitkowiców, a na początku XIV wieku przeszła w ręce Rożmberków, którym miasto zawdzięcza największy rozkwit. Dobrobyt zapewniała sprawnie prowadzona polityka gospodarcza, a pod koniec XV wieku otwarto kopalnię rud srebra i złota. Była tu też (aktualnie dostępna do zwiedzania) kopalnia grafitu. Český Krumlov otrzymał w 1494 roku przywileje miasta królewskiego, co wzmocniło jego pozycję, a właścicielom pozwalało na kolejne rozbudowy zamku. Za czasów Piotra Rożmberka powstał Horní Hrad (Górny Zamek) na skale piętrzącej się ponad Wełtawą, ale już wiek później przebudowano go w stylu renesansowym.

W wieku XVIII, gdy właścicielami zamku i miasta został książęcy ród Schwarzenbergów, dokonano dalszych modernizacji, pnąc się w górę liczącego blisko 550 m n.p.m. wzgórze. Powstały kolejne elementy tego gigantycznego założenia – teatr, wspinały, wznoszący się na wysokość



40 m, kilkukondygnacyjny most arkadowy (Płaštovy Most), a także stajnie i rozległe ogrody z belwederem.

Ponad całością dumnie wznosi się 54-metrowa wieża pamiętająca początki istnienia zamku, ale także na przestrzeni wieków przebudowywana. Jej aktualny wygląd – kopuła, taras z kolumnami i renesansowe zdobienia – to efekt prac z lat 1580-1590, ale widok ze szczytu jest niezmiennie ten sam – zachwycający wachlarzem wrażeń.

Jedną z najcenniejszych atrakcji zamkowych jest piękna sala teatralna (1748 r.) z niesamowitymi iluzjonistycznymi malowidłami, a także znajdujący się w osobnym budynku rokokowy teatr (1765-66 r.), w którym zachowały się do naszych czasów dawne urządzenia do zmiany dekoracji, kurtyna i oryginalne kostiumy.

Różnie zaplanowane trasy zwie-



dzania prowadzą także przez salę balową, kaplicę zamkową (z połowy XVIII wieku), galerię obrazów z m.in. portretami Schwarzenbergów, komnaty z wystrojem renesansowym i barokowym, z bogactwem mebli i licznymi tapiseriami, w tym słynne apartamenty księżnej Eleonory.



48°49'N 14°19'E

25 km od Czeskich Budziejowic, 170 km od Pragi, 30 km od granicy z Austrią.

MOTORY NAD JEZIOREM

W zachodnio-północnej Polsce, pomiędzy jeziorami Drawsko i Czaplino, znajduje się interesująca miejscowość zwana dawniej Tempelbork. Miasto znane jest turystom głównie z pięknych krajobrazów, XIII-wiecznego kościoła pw. Świętej Trójcy, urokliwej starówki oraz z organizacji Międzynarodowego Zlotu Miłośników Motocykli Harley-Davidson. Turyści kochający wiatr i żagle także znajdą tu coś dla siebie. Pobliskie jezioro Drawsko jest największym i najgłębszym akwenem Pojezierza Drawskiego. Znajduje się na nim 14 wysp oraz urozmaicona linia brzegowa z charakterystycznymi klifami, których wysokość dochodzi do 40 metrów. Rekomendowane przez www.PlaceKnow.com



53°33'N 16°14'E

70 km na południe od Koszalina.

Polska Czaplinek

Zbudowałem własnymi rękoma cztery niezawodne tratwy, co jest niepokonanym rekordem. Zdobyłem unikalne doświadczenie konstruktora. Ubarwiłem swoje życie w niepowtarzalny sposób.

Tratwa była pierwszym statkiem w historii okrętownictwa. Powstała prawdopodobnie przed 25 tysięcy laty. Ożywiona w XX wieku przez Thora Heyerdahla w postaci „Kon Tiki” przetrwała o szybsze bicie milionów serc.

Pierwszą tratwę zbudowałem ze Staszkiem Kostką, obrabiając ręcznie sękaty świerk, zaostając pnie, wycinając rowki, tnąc belki mocujące poprzecznie i wykonując setki innych czynności. Była to pierwsza w świecie impregnowana tratwa, mogąca pływać latami, wolna od zmory zatonięcia.

NORD – POSZUKIWANIE WOLNOŚCI

Widok Bałtyku w urokliwej Łebie lat 1950., z perspektywy bronowanych plaż i otaczających je drutów kolczastych, tylko dobił człowieka. Sparaliżowany i zbiurokratyzowany jachting, drabina stopni żeglarskich oraz wszechobecny nadzór WOP odstraszały dwudziestoletniego studenta politechniki od ówczesnych skomunizowanych jachtklubów. Nie potrafiłbym wtedy zbudować porządnej żaglówki, ale gdyby jednak – i tak nie przeszedłbym sita nadzorów. Mój patent sternika III klasy również niczego nie dawał.

Z drugiej strony zew przygody, przemawiający z książek Londona, Amundsena czy Wagnera, był silniejszy od zniewolenia, zaś jako enklawa swobody pojawiła się tratwa. Taka jaką – hen, gdzieś w wolnym świecie – żeglował Heyerdahl czy William Willis...

Pomysł tratwy był jak objawienie. Mógłbym ją zbudować własnoręcznie, nie należała do kompetencji jachtklubów, skostniałego PZZ i nadzorów budowlanych. Opinię tę podzieliło trzech niezwykle ludzi, a nie byli to koledzy z akademika czy kolesie z łebskiej przystani, lecz: inżynier radiotechnik Stanisław Kostka (l.26), lekarz Jerzy Fischbach (l.26) i Czesław Breit, dziennikarz partyjnej „Gazety Krakowskiej” (l.31).

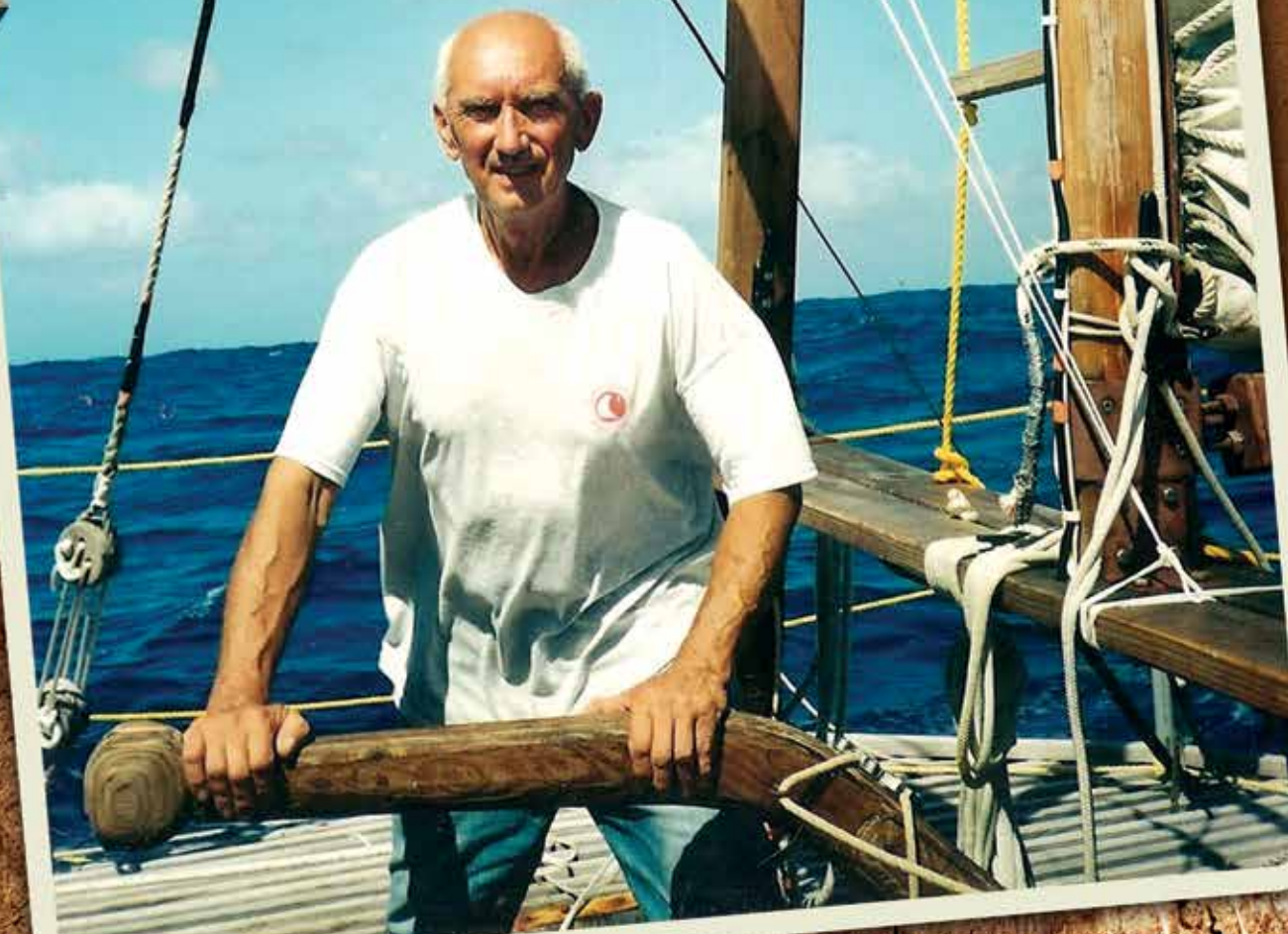
Był to mój pierwszy sukces. Drugim było imperatywne wezwanie „Tratwą przez Bałtyk!”. Wezwanie, które mogło albo mnie wykończyć, albo przynieść głośny sukces. Przyniosło to drugie i o tratwie, która na razie istniała tylko w mojej głowie, pisały wszystkie gazety oraz trąbiło radio. Ba, informowała, nadająca wówczas tylko we wtorki, telewizja.

Lasy Państwowe podarowały nam sześć ogromnych, dziesięciometrowych pni świerkowych. Marynarka Wojenna uszyła żagle i wypożyczyła radiostację. PLO ofiarowało liny, sprzęt ratunkowy i apteczkę. Instytut Medycyny Lotniczej – lotnicze kamizelki ratunkowe, także *dinghy* oraz odsalacze wody morskiej. Do tego krakowscy piekarze dorzucili dwa worki sucharów.

Oczywiście, nasza „rebelia” wywołała furję Polskiego Związku Żeglarskiego, który usiłował zniszczyć pomysł rejsu faryzejskim straszaniem przed „pewną śmiercią czterech młodych ludzi”. Kiedy za tratwą stanęli jednak murem prof. Demel, kpt. Meissner, kmdr Romanowski, minister żeglugi Darski i wielu innych wspólników, PZZ znalazł się za burtą.

MOJE CZTERY TRATWY

Andrzej Urbańczyk



FOT. ARCHIWUM AUTORA

Gdy tratwa „Nord” została zbudowana, pokazana przez Polską Kronikę Filmową, opisana w licznych reportażach i sprawdzona w dwóch rejsach przybrzeżnych – nie było siły, która mogłaby nas zatrzymać w porcie.

Jesienią 1957 roku cała nasza czwórka przeżeglowała gładko południowy Bałtyk, lądując sztormowo i szczęśliwie na szwedzkiej wysepce Lilla Karlsö. Książka „Tratwą przez Bałtyk” stała się bestsellerem, a ja poczułem się niemal kolegą Heyerdahla.

mieszkańcem Kalifornii, nieznanym problemów finansowych.

Uwodził mnie rejs tratwą przez północny Pacyfik. Po pierwsze, po porażce znakomitego podróżnika Tima Severina (porzucona bambusowa tratwa „Hsu-Fu”), był nadal niezdojety. Po drugie, bezkresny obszar kusił... najdłuższą w historii wyprawą na tratwie.

W 65. rocznicę swoich urodzin, trzeźwy jak anioł, wypisałem czek na 10 tys. dolarów, stając się właścicielem siedmiu ogromnych, 12-metrowych, sekwojowych pni. Była to wyprawa robiona z ogromnym rozmachem, pod banderą ONZ i patronatem Explorers Club USA. Patronem był również PZZ.

Niespodziewanie, mój guru Thor Heyerdahl, do którego zwróciłem się o błogosławieństwo, odmówił, przypominając o odpowiedzialności za życie załogi w tak niebezpiecznym rejsie i na zbyt ciężkich – jak uważał – pniach. W końcu przekonało go moje doświadczenie inżyniera, impregnacja pni oraz kapitański dyplom. Przesyłając swoje „imprimatur”, zaproponował, abym wyruszając z Kalifornii, próbował dopłynąć do Archipelagu Mariańskiego. „Dlaczego do Marianów?” – zadesperzowałem. Niestety, odpowiedź nie nadeszła i nie nadejdzie już nigdy...

„Nord VI” zbudowaliśmy w trójkę: Krystyna, Andre – mój daleki familiant – i ja. Wysuszone na pieprz pnie ułożyliśmy dziobem na zachód, aby przyzwyczyły się do kierunku, w którym miały płynąć. Potem raz jeszcze: zaostrzenie, rowki, impregnacja, liny, belki poprzeczne, pokład, chatka (zwana Pałacem), maszty, ster, żagle. Tysiąc rzeczy na cztery miesiące żeglugi.

Wypłynęliśmy wraz z Andre z San Francisco we wrześniu 2002 roku. „Nord VI” i dwójka załogi gładko zrobiła 6.800 mil północnego Pacyfiku, w ciągu 130 dni jego – pierwszego – przejścia. Ważniejsze wydarzenia to: odwiedziny na tratwie, która mijała właśnie Hawaje, Krystyny dowodzącej kutrem załadowanym stosem prezentów; lądowanie na wyspie Guam – Archipelagu Mariańskiego, czyli wypełnie-



Tratwa „Nord”,
która przeżeglowała
Bałtyk w 1957 roku.

NORD VI – REKORD ŚWIATA

Minęło prawie pół wieku. Nie byłem już dwudziestolatkiem o bujnej czuprynie. Byłem doświadczonym kapitanem żeglugi wielkiej, samotnym globokrądcą, rekordzistą Pacyfiku, autorem 50 książek, doktorem nauk. U mojego boku stała Krystyna. Byłem, co istotne,

Tratwa „Nord-bis”,
która przepłynęła
Bałtyk w 2006 roku.



Andrzej Urbańczyk
przy sterze pierwszej „Nord”.



Budowa tratwy „Nord” - Łeba, 1957 r.



Pnie na budowę tratwy
„Łeba”.

Świerki
na budowę
„Nord-bis”.



nie przedśmiertnej wskazówki Heyerdahla; a na finiszu – stawienie czoła tajfunowi YanYan.

W kraju wyraźnie nie zauważono najdłuższej w historii wyprawy na tratwie. Telewizja odmówiła transmisji z rejsu, polskie wydawnictwo odmówiło druku rejsowej książki... Te rzeczy przestawały już jednak mieć dla mnie znaczenie.

ŁEBA – ZA DUŻO WODY

Był rok 2004. Ku mojemu najwyższemu zaskoczeniu, Łeba, w której wciąż żywa była pamięć pierwszej, szalonej eskapady przez Bałtyk, zwróciła się do mnie z projektem budowy tratwy i powtórzenia tamtego rejsu. Chodziło o uświetnienie powierzonego grodowi Święta Morza. Miałem być projektantem tratwy i jej dowódcą w rejsie.

Nie wypadało odmawiać. Zaprojektowałem jednostkę, proponując, że wybudujemy ją wraz z firmą mojego druha, znanego konstruktora żaglowców, Zygmunta Chorenia. Ostrzegłem jednak, że na niezbędne wysuszenie świerkowych pni potrzeba dwóch lat.

Tratwa (bez impregnacji) została zbudowana i w promocyjnej euforii przewieziona do Warszawy, gdzie wraz z załogą prezentowaliśmy ją na Placu Zamkowym, budząc niemalą sensację. Opinie warszawiaków były generalnie pozytywne, aż po płasy na tratwie świeżo poślubionej pary. Trafiali się jednak i „ekolodzy” lamentujący, iż ścięto tak wspaniałe drzewo dla zupełnie nonsensownego pomysłu. Wtedy cierpliwie tłumaczyłem, że drzewa nie żyją wiecznie i stuletni świerk można albo ściąć, albo przeznaczyć na zbutwienie.

Niestety, tak jak ostrzegałem, pnie na Święto Morza nie zdążyły wyschnąć i z projektu, który podobno kosztował sto tysięcy złotych, zrezygnowano. Fatalna historia.

NORD BIS – PŁONĘŁA TRZY DOBY

W dwa lata po klęsce „Łeby”, w związku z przypadającym 50-leciem eskapady „Tratwą przez Bałtyk” i uroczystościami 600-lecia miasta, zaproponowałem burmistrzowi powtórzenie historycznego rejsu. Odpowiedzi nie otrzymałem do dzisiaj.

Nie czekając długo, zabrałem się ostro do działania, mając u boku zawsze niezawodną Krystynę i Wojciecha Wolcendorfa – towarzysza rejsu otwartą szalupą „Nord VII” przez Północny Pacyfik. W efekcie, z otwartymi ramionami powitała nas Ustka. Stocznia ALU-Ustka dała miejsce na budowę „Nord-bis” (inaczej „Nord VIII”) i pomoc techniczną, zaś Gmina Postomino – sute wsparcie sponsora.

Zakupione dwa lata przed startem wspaniałe świerkowe pnie przewieziono do Stoczni Gdańskiej, a firma Choreń Design zatroszc-



zyła się o ich wysuszenie, zaostwienie i wycięcie rowków. Żagle, uszyte przez światowej renomy Lee Sails, okazały się tańsze od oferowanych w kraju. Explorers Club i PZŻ raz jeszcze udzieliły nam swoich bander.

Po przewiezieniu pni do Ustki nastąpiła niespodziewana katastrofa. Niestarannie nałożona warstwa impregnatu uległa „zbaşleniu” i trzeba ją było usunąć. Pracując po 12 godzin



Tratwa „Nord-bis”
w 2006 roku.

FOT. ARCHIWUM AUTORA



Mile widziani goście
na tratwie „Nord VI”.



Przygotowania na przyjęcie
tajfunu Yan-Yan na „Nord VI”.

dziennie wraz z zespołem wynajętych ludzi walczyliśmy o utrzymanie terminu startu. Co gorsza, uczestnik rejsu odpowiedzialny za prace elektryczne (baterie słoneczne, akumulatory, oświetlenia nawigacyjne, komunikacja radiowa) zawałił sprawę. Pozbyliśmy się go i aby ratować wyprawę, pracowaliśmy jak desperaci.

3 lipca 2006 r., tak jak zaplanowałem rok wcześniej, odbył się chrzest „Nord-bis”, którego dokonała Krystyna, przyłeciawszy ze Sta-

jeszcze Atlantyk, Krystyna przywiozła ze sobą cenny nabytek – Michała Kochańczyka.

Nasza trójka, o średniej wieku 62 lata, zrobiła Bałtyk w drodze powrotnej całkiem gładko. Była to pierwsza, historycznie rzecz biorąc, wyprawa w dwie strony. „Nord-bis” powróciła do Gdańska, cumując 100 metrów od miejsca swego narodzenia. Krystyna okazała się pierwszą kobietą żeglarzem na pokładzie tratwy. Za wyczyn ten zgłoszono nas do Kolosa, jednak jury nie przyznało najmniejszego wyróżnienia. W proteście zwróciłem przyznaną mi kiedyś nagrodę: Kolos – Wyczyn Roku 2002. Również w proteście spopieliłem moją „Nord-bis”. Płonęła przez trzy doby...

Nie chodziło o mnie, ale o uhonorowanie mojego sternika – kobiety.



Autor z żoną Krystyna na pokładzie „Nord-bis”.

nów, skąd przytargała jeszcze ze sobą baterie słoneczne. Chrzciliśmy nie francuskim szampanem, lecz – zgodnie ze starosłowiąską tradycją – mlekiem. Zwodowaliśmy tratwę przy dźwiękach kapeli i śpiewu ludowego zespołu: „A tratwa niech płynie i nigdy nie zginie”.

Żegluga przez „Bałtyk-bis” pokazała, że niestety, nie jest on już morzem dla białych żagli. Płynęliśmy otoczeni przez statki, a przestrzeżenie przez nie prawa drogi było bardzo dowolne. Brakowało też ptaków – towarzyszy pierwszej „Nord”.

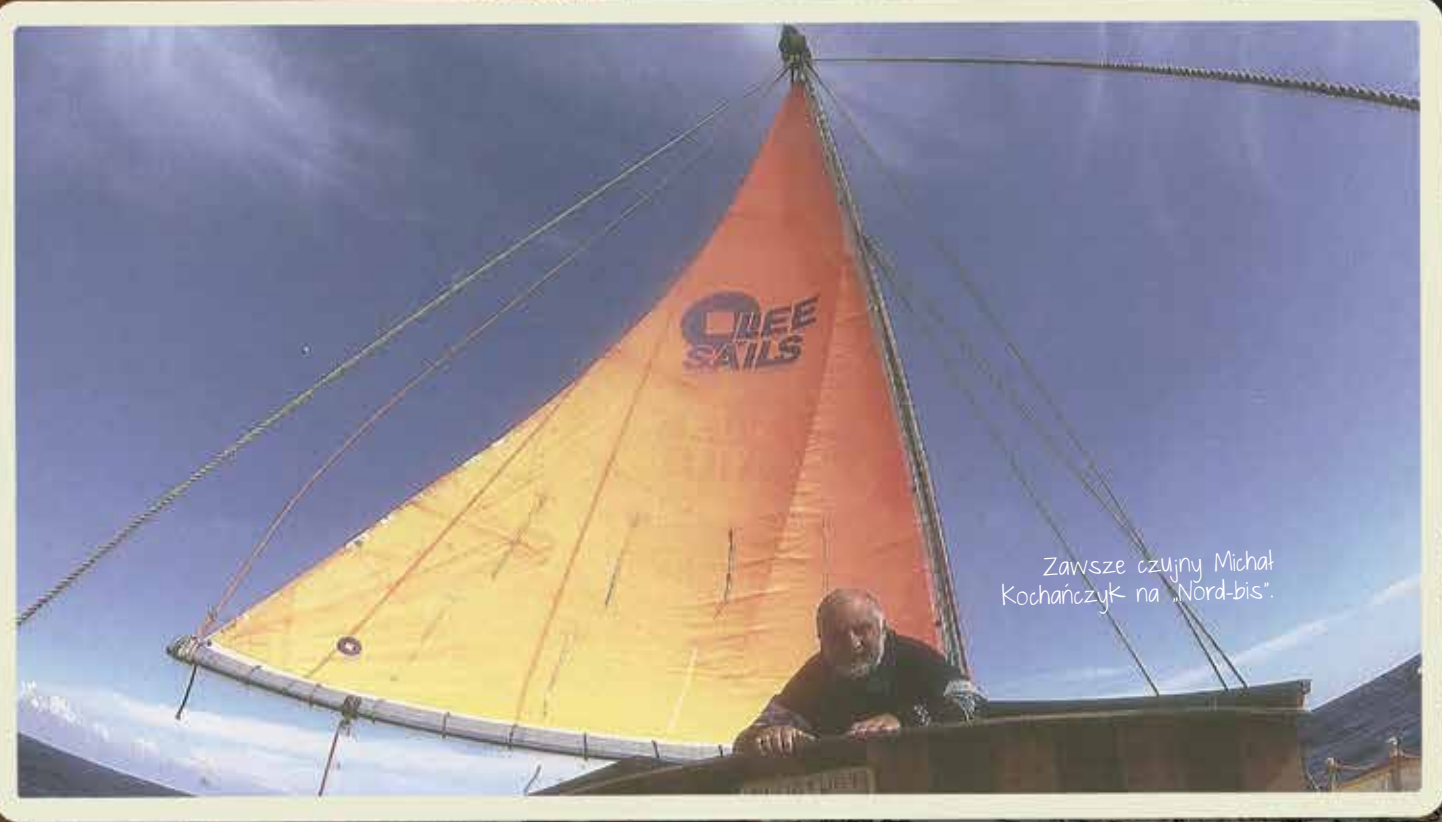
Nie był to łatwy rejs. Może dlatego moja dwuosobowa załoga poprosiła – gdy mijaliśmy Gotland – o zmustrowanie, tłumacząc się zmęczeniem. W przypadku Wojtka odbyło się to po koleżeńsku, w przypadku drugim – z pretensjami i żalonymi pogroźkami. Znalazłem się na Gotlandzie sam, z tratwą i nadciągającymi jesiennymi sztormami. „Przylatuję natychmiast, żeby stanąć obok Ciebie” – mailowała moja wspañiała dziewczyna. Przefruując raz

ZBUDUJMY ARKĘ NOEGO

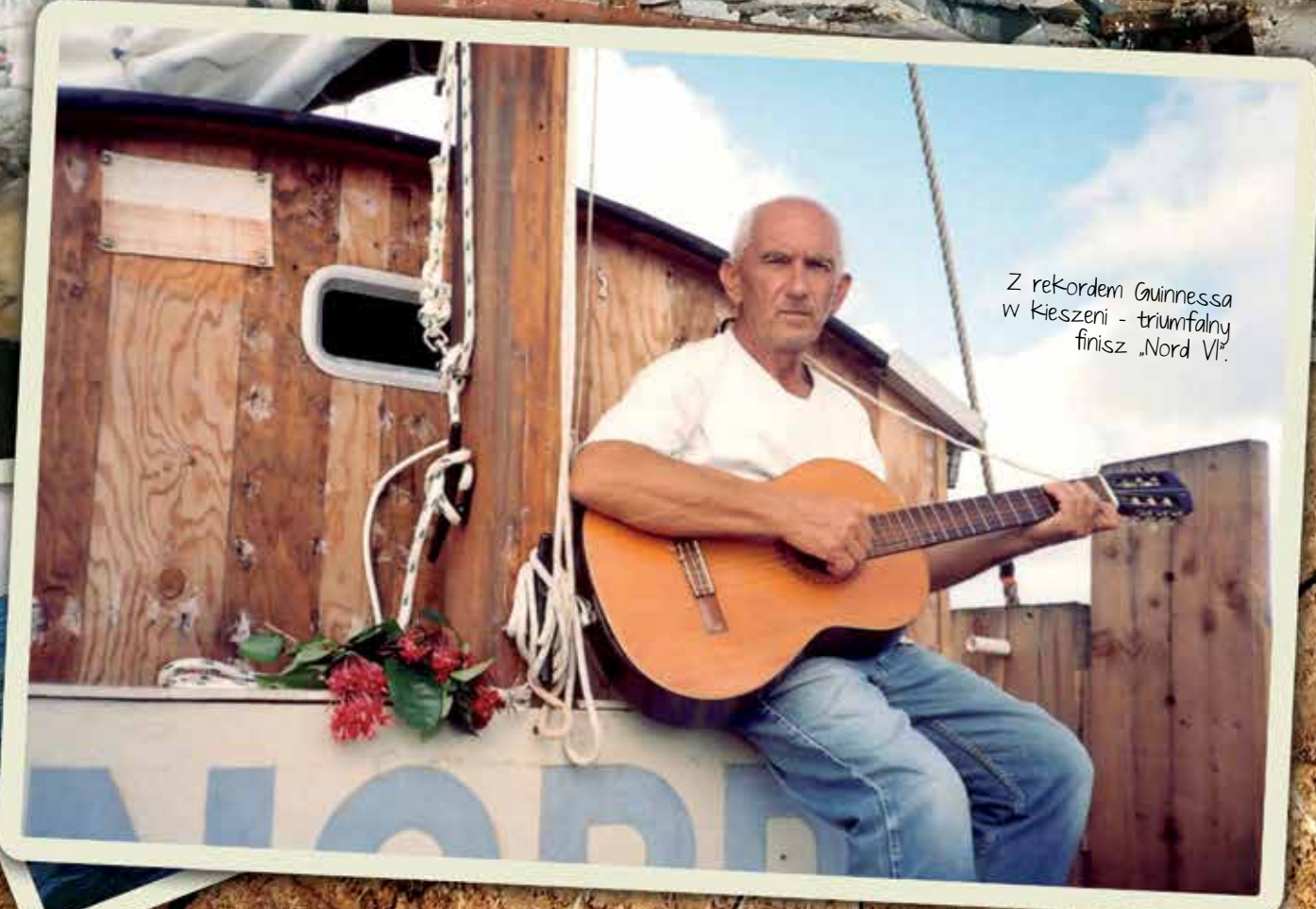
Czuję się wciąż młody. Grając ostatnio w autobiograficznym filmie „Sam sobie sterem, żeglarzem, okrętem”, wszedłem na maszt „Daru Pomorza”. Na drugi dzień skakałem ze spadochronem i grałem ujęcie z gitarą, śpiewając „Choć burza huczy wokoło nas”. Więc, być może...

Wpadłem niedawno na pomysł zaprojektowania jednostki na nową ambitną wyprawę. Skoro podjęta przez Heyerdahla myśl żeglugi replikami prehistorycznych tratw okazała się tak znakomita (20 oceanicznych wypraw na tratwach, 16 książek i 12 filmów), mam pomysł nie gorszy.

Idźmy na całość i zbudujmy replikę najstarszego i najslynniejszego ze statków wszechczasów – Arki Noego. Więcej! Nie tylko zbudujmy Arkę, ale zwodujmy ją, wyposażmy i użyjmy w oceanicznym rejsie. Podane przez Biblię wymiary 135x22x14 są imponujące, ale dla konstruktora statków to codzienność. Szacunkowy koszt budowy – 4 miliony dolarów. Nie mam wątpliwości, że mądrze zrobiona eskapada (prezentacja w mediach, poresowy film i sama Arka jako muzeum) dałyby przychód kilka razy większy, choć przecież nie o pieniądze tu chodzi. ○



Zawsze czujny Michał Kochańczyk na „Nord-bis”.



Z rekordem Guinnessa w Kieszni - triumfalny finisz „Nord VI”.

BANKNOTY ŚWIATA

banknotu można doszukać się w Chinach i Mongolii już pomiędzy VII a IX w.

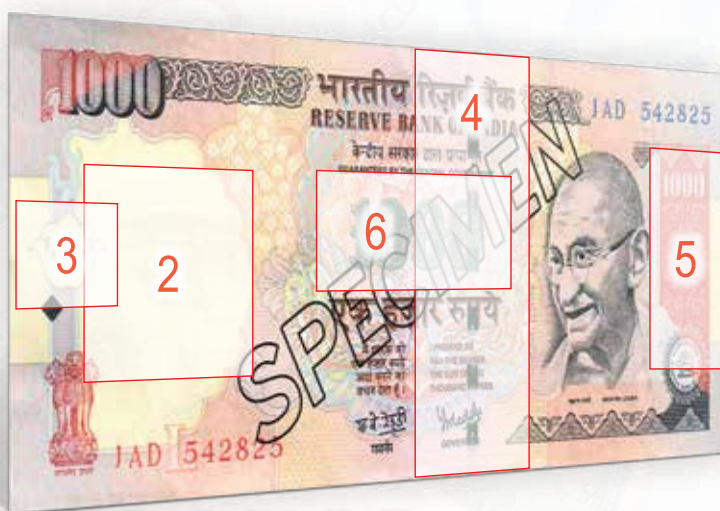
Pieniądze są jednym z ważniejszych wynalazków w dziejach ludzkości. Jednym z kierunków rozwoju pieniądza jest banknot. Zaistniał on w Europie ponad 300 lat temu, m.in. za sprawą szwedzkiej kampanii wojennej przeciwko Polsce zwanej „potopem szwedzkim”. Na świecie pierwowzoru

dziś używany coraz częściej przez obrót bezgotówkowy, jest nadal istotnym elementem wymiany towarowej. Dlatego wybierając się nawet w najbardziej odległe zakątki świata, warto wiedzieć, jak wyglądają aktualne banknoty w danym państwie oraz jak rozróżnić te fałszywe.

इन्दीय रिजर्व बैंक

Wartość rupii indyjskiej to ułamek polskiej złotówki (1 INR to ok. 5 gr). Obecna emisja banknotów pochodzi z lat 1996-2002. W obiegu są banknoty o nominałach: 5, 10, 20, 50, 100, 500 oraz 1000 rupii. Rupia teoretycznie dzieli się na 100 paisa, ale „grosze” są spotykane rzadko. Na co dzień występują monety 1, 2, i 5 rupii.

Banknoty różnią się wymiarem i kolorystyką. Na awersie każdego znajduje się podobizna Mahatmy Gandhiego. Poszczególne elementy druku i oznaczeń są w tych samych miejscach.



Indyjskie banknoty wydrukowane są na tradycyjnym papierze banknotowym. Główne elementy graficzne awersu (te drukowane ciemniejszą farbą, bardziej wyraziste) są wyczuwalne opuszką palca (1). Wszystkie banknoty mają znak wodny (lewa strona awersu) – widoczną pod światło podobiznę Gandhiego (2) oraz nominał cyfrowy danego banknotu. Recto-verso (3) umiejscowione jest między znakiem wodnym a lewą krawędzią banknotu. W rupiach są to różnego rodzaju formy kwiatowe dające pod światło wspólny obraz rewersu i awersu.

czy wiesz, że ?

**Liderwalut.pl****KANTOR INTERNETOWY**WYMIENIAMY WALUTĘ
PO NAJLEPSZYM KURSIE

przednia strona odwrotna strona widok pod światło



Wszystkie nominały zaopatrzone są w nitkę zabezpieczającą okienkową (4) z napisem RBI (Reserve Bank of India), a w 1000 dodatkowo nominał. Banknoty od nominału 20, w słupku po prawej stronie podobizny Gandhiego, mają nominał (5), który widać przy odpowiednim pochyleniu poziomo pod światło. Dwa najwyższe nominały, 500 i 1000 rupii, mają łatwo weryfikowalne zabezpieczenie w postaci dużego nominału w centralnej części awersu (6), którego kolor zmienia się w zależności od kąta padania światła i kąta obserwowania.



Grzegorz Cwiek – autor tekstu
prowadzi szkolenia z rozpoznawania
autentyczności pieniędzy i dokumentów

REKLAMA

**CIESZ SIĘ Z WAKACJI, ZAKUPÓW,
REALIZUJ SWOJE MARZENIA****UŁATWIAMY ŻYCIE**

- zawsze dobre ceny
- zawsze dostępni 24h
- z każdego miejsca na świecie
- zawsze gdy liczy się czas ...



L CASHHOME Sp. z o.o.
www.liderwalut.pl
INFOLINIA 58 5000 108

**KUPNO SPRZEDAŻ WALUT NA DOBRZYCH WARUNKACH**



FOT. ILONA PIETRUSIEWICZ



Ilona Pietrusiewicz

PUCHEROKI I KWIETNA NIEDZIELA

– Patrz, jest! Stoi przy tamtej chacie! – pierwszego pucheroka wypatrzyliśmy na poboczu drogi. Stał przed drzwiami domu i najwyraźniej czekał, aż ktoś mu otworzy. Ubrany był w kożuszek, a na głowie miał kolorową szpiczastą czapę.

Do Bibic przyjechaliśmy specjalnie po to, żeby tropić pucheroki. Dotarliśmy do wioski wcześnie rano, niczego nie chcieliśmy przegapić. Uspiona i pustawa z początku okolica zaczęła się wkrótce zaludniać. Między chatami pojawiły się następne trzy pucheroki, wszystkie z koszyczkami i laskami. Po chwili pod kościół podjechał samochód, wysiedli z niego rodzice z dwójką dzieci, które zaraz potem zamieniły się – jak za sprawą czarodziejskiej różdżki czy raczej wyciągniętych z bagażnika rekwizytów – w kolejną parę przebierańców. Wkrótce było ich jeszcze więcej.

PROŚBĄ I GROŹBĄ

Bibice to niewielka małopolska wieś, w której co roku, w Niedzielę Palmową, harczą przebierańcy zwani pucherokami. Mają wielkie barwne czapy, namalowane sadzą wąsy i bro-



dy, a ubrani są w kożuchy przepasane warkoczami ze słomy. Każdy z nich ma też koszyk i tzw. puchę, czyli ozdobioną kolorową bibułą drewnianą laskę podobną do młota z bardzo długim trzonkiem. Od rana obchodzą wieś i pukają do drzwi domów. Wygłaszają tradycyjne zabawne oracje, uderzając puchami o ziemię i wybijając nimi rytm.

Ich rymowane przemówienia mają charakterystyczny styl i rytm. Pucheroki chwala się w nich swoimi dokonaniem, przygodami i podróżami, ale też wyrażają skąpym gospodarzom. Brzmi to mniej więcej tak: „jeśli nie dostanę natychmiast placków z twarogu, załę-



FOT. LONA PETRUSEWICZ



FOT. LONA PETRUSEWICZ

gną ci się myszy, wytłukę ci garnki na płocie, wrócę tu za rok i zostanę twoim zięciem”.

Za swoje oracje zwykle otrzymują od gospodarzy jajka, pomarańcze i słodycze. Zdara się, że co łaskawsze gospodynie częstują dzieci wielkanocnymi smakołykami albo dają im pieniądze. Bywa jednak i tak, że domownicy otwierają im drzwi jeszcze niekompletnie ubrani i z krzykiem przeganiają przebranińców. W tym jedynym dniu w roku pozwala się im jednak swawolić – jest to przecież uświęcona od wieków tradycja.

NAKARM ŻAKA NIEBORAKA

Zwyczaj pochodzi z XVI wieku, gdy ubodzy krakowscy żacy, głodni i zmarznięci, zapuszczali się po prośbie coraz dalej od miasta. Nazywano ich właśnie „pucherokami”, „puchera-mi” lub „puchernikami”, od łacińskiego słowa *puer*, oznaczającego chłopca.

W okresie poprzedzającym Wielkanoc żacy zakładali charakterystyczne słomiane czapy i odwrócone na lewą stronę kozuchy przewiązane słomą. W tych przebraniach wędrowali po wsiach, już od świtu stukali do drzwi okolicznych domostw i kościołów, witanii a to smakołykami i drobnymi monetami, a to krzykami obudzonych gospodyń. Recytowali wierszyki i świąteczne życzenia, otrzymując w zamian placki, kołaczki, jaja, kielbasę i spyrkę. Z czasem ustaliło się, że „chodzenie po pucherach” odbywa się tylko raz w roku: w Kwietną Niedzielę, czyli w Niedzielę Palmową. I tak jest do dziś.

GMINNY PRZEGLĄD PUCHEROKÓW

Średniowieczna tradycja pucheroków podtrzymywana jest w kilku miejscowościach Małopolski. Chłopców, a ostatnio coraz częściej także dziewczynki, kultywujących dawne obyczaje można spotkać też m.in. w podkrakowskich Zielonkach, Trojanowicach, Modlnicy i Modlniczce.

Co roku w Niedzielę Palmową na rynku w Bibicach odbywa się Gminny Przegląd Pucheroków organizowany przez Centrum Kultury, Promocji i Rekreacji w Zielonkach oraz sołectwo Bibice. Podczas przeglądu przy



świątlicy „Pucherok” przebierańcy prezentują zawartość swoich koszyków, wygłaszają oracje i relacjonują „chodzenie po pucherach”. Wśród barwnego tłumu w kolorowych czapach najliczniej reprezentowane są przedszkolaki, a wywiady przeprowadzane z nimi na scenie są źródłem zabawnych i zaskakujących sytuacji. Jedno z dzieci wyznało, że w gościnie objadło się zasmażaną kapu-

stą, inne w kilka godzin „uzbierało” z datków 125 zł, a kolejne zdradziło, że pewien gospodarz „kazał śpiewać kolędy”.

Po zakończeniu przeglądu w Bibicach corocznym zwyczajem grupa przebierańców wyrusza na Rynek Główny w Krakowie. Strój pucheroka jest zresztą eksponowany w tamtejszym Muzeum Etnograficznym. ○

REKLAMA

*Wielki kiermasz turystyczny
na targach*

**Lato
2013**

19-21 kwietnia 2013
Centrum MT Polska, ul. Marsa 56c, Warszawa
www.targilato.pl

SERCE DWORKU GOŚCINNEGO

Sala teatralno-balowa. Jednym przyciskiem teatr zmienia się w piękną salę balową.

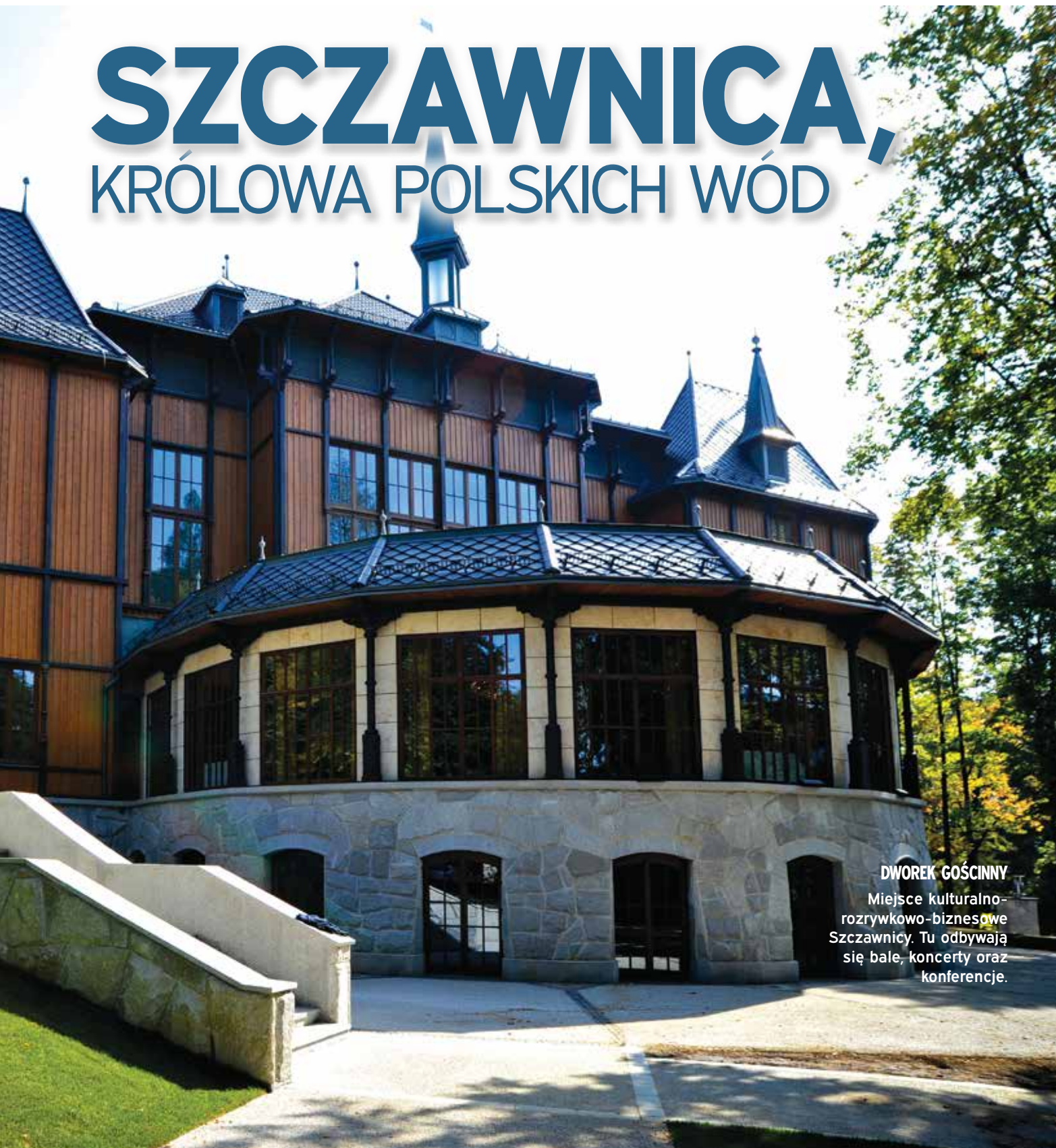


KAMERALNY JAZZ BAR

Z wielkim rozmachem powraca w dawnym stylu. Po latach świetności i chwilach zapomnienia historia tego miejsca znów przykuwa uwagę.

Gdzie tkwi jego tajemnica, której nie oparli się nawet poeci?

SZCZAWNICA, KRÓLOWA POLSKICH WÓD



DWOREK GOŚCINNY

Miejsce kulturalno-
rozrywkowo-biznesowe
Szczawnicy. Tu odbywają
się bale, koncerty oraz
konferencje.

Plac Dietla z fontanną ze sławną „Babą z dzbanem”. Tuż obok Pijalnia Wód, Galeria oraz stylowa Café Helenka



Szczawnica to jedno z najpiękniejszych polskich uzdrowisk. Sławę zawdzięcza leczniczemu źródłom zwanym przez miejscowych szczawami, a także pięknej architekturze i wyjątkowej lokalizacji w przełomie Dunajca.

PRZYWRACANIE BLASKU

Dzięki przedsiębiorczości hrabiego Andrzeja Stadnickiego i jego potomków, przed laty do

aż do wybuchu II wojny światowej. Lata powojennej Polski niestety nie zapisały się chwałą na kartach historii Szczawnicy – majątek został skonfiskowany, rodzina hrabiego rozjechała się po świecie, a miasto zaczęło podupadać. Po 60 latach pojawiła się szansa na przywrócenie uzdrowisku dawnego blasku. W 2005 roku spadkobiercy hrabiego Adama Stadnickiego odzyskali dawny majątek. Od tego momentu Andrzej Mańkowski, wnuk hrabiego, wraz z rodziną zdecydował się zaangażować środki finansowe oraz ogromny nakład pracy w odbudowę uzdrowiska. Dzisiaj, dzięki wizji, która przyświeca rodzinie Mańkowskich, odzyskuje ono swoją świetność w iście hrabiowskim stylu.



CAFÉ HELENKA

Połączenie wielokulturowego stylu z tradycją i elegancją. Wyśmienite międzynarodowe menu w połączeniu z tradycyjnymi potrawami.

Szczawnicy zjeżdżała śmietanka towarzyska z całej Polski. Upodobali ją sobie artyści i pisarze z Henrykiem Sienkiewiczem na czele. To znaczące wtedy uzdrowisko, określane mianem Królowej Polskich Wód, tętniło życiem

nym otoczeniu zachęcają do zwiedzania. Spacer zaczynamy od Parku Górnego i od znajdującej się tam perły tego miasta, gdzie niegdyś bawiły się przedwojenne elity towarzyskie – Dworku Gościnnego.

ART DÉCO U WÓD

Przekraczając progi Szczawnicy, przecieramy oczy ze zdumienia – ukazuje nam się zakłeta w nowoczesności historia. Pięknie odnowione, lecz zachowane w swej oryginalności budynki w pięk-

Godny największego podziwu jest pietyzm, z jakim odbudowany został Dworek. 15 lat temu, stojąc na ruinach fundamentów tego obecnie niezwykłego miejsca, można było jedynie wyobrazić sobie muzykę i gwar dobiegający ze środka. Dzisiaj to już nie wyobraźnia, a rzeczywistość. Zniszczony przez pożar w 1962 roku Dworek został odbudowany przez spadkobierców Adama Stadnickiego od podstaw i oddany do użytku w 2011 roku. Dokładna replika przyciąga zarówno stylowym wyglądem, jak i nowoczesnością – z zewnątrz pięknie odtworzone w najdrobniejszych szczegółach fasady, wewnątrz najnowocześniejsze systemy multimedialne ukryte pod osłoną wykończeń w stylu art déco. Odbywają się tu konferencje, koncerty, sztuki teatralne, jak i bale czy imprezy. Serce Dworku, sala teatralna, mieści 362-osobowe audytorium. Przy pomocy jednego naciśnięcia przycisku zamienia się w salę balową o powierzchni 500 metrów kwadratowych – piękne stylowe żyrandole opuszczane są w dół, rozświetla się wnętrze i mamy wrażenie, że cofnęliśmy się w czasie.

POD MODRZEWIAMI

Kolejnym wspaniałym budynkiem, obok którego przejdziemy, spacerując parkowymi alejami, jest rodzinna willa, która obecnie funkcjonuje jako ekskluzywny pięciogwiazdkowy Modrzewie Park Hotel****. Położony na wzgórzu, w sercu 15-hektarowego modrzewiowego parku, hotel jest połączeniem luksusu i rodzinnej atmosfery. Niegdyś dom otwarty na gości i przyjaciół, dzisiaj realizuje dawną filozofię – każdy gość ma się tutaj czuć jak w rodzinnym domu. Każdy element hotelu daje poczucie luksusu – od dyskretnej elegancji wystroju wnętrz, poprzez najwyższej jakości usługi, a na wysmienitej kuchni i komfortowym spa kończąc.

Kto ma ochotę na spotkanie tradycji z nowoczesną estetyką, koniecznie musi odwiedzić znajdującą się na Placu Dietla kawiarnię „Café Helenka” i zasmakować serwowanych tam specjalów. „Café Helenka” jest subtelnym połączeniem współczesnego, wielokulturowego

stylu, w którym tradycja i regionalne akcenty przeplatają się z nowoczesną estetyką i gustowną elegancją. Usytuowana w historycznym sercu szczawnickiego uzdrowiska kawiarnia jest idealnym miejscem na spotkanie z przyjaciółmi, biznesowy lunch czy też popołudniową kawę.

OD ADY SARI DO WITKIEWICZA

Spacerując dalej, docieramy do Parku Dolnego. Tu, w samym sercu miasta, naszym oczom ukazuje się Willa Marta. To jedna z ciekawszych pod względem architektonicznym willi w Szczawnicy oraz miejsce o bogatej historii. To tutaj bywali: Ada Sari, Lena Żelichowska czy Stanisław Ignacy Witkiewicz. Położenie



Willi sprawia, że większość atrakcji turystycznych Szczawnicy znajduje się w odległości kilkuminutowego spaceru, a Palenica wydaje się być na wyciągnięcie ręki. Grzechem byłoby nie skosztować wyrabianych na miejscu pysznych domowych lodów i deserów. Atrakcją Willi jest także stylowa oszklona weranda, z której goście mogą korzystać przez cały rok.

Ostatnimi laty, dzięki rodzinie Mańkowskich, miasto zmieniło się, znacząco odzyskując swój blask i piękno. Ta przemiana trwa nadal. Przyjeżdżając do Szczawnicy, bez wątplenia pocujemy czar tego miejsca, który sprawi, że będziemy chcieli tutaj wrócić. ◉

MODRZEWIE PARK HOTEL

Połączenie luksusu i rodzinnej atmosfery w otoczeniu parku modrzewiowego.

www.uzdrowiskoszczawnica.pl

Trwający w Syrii od marca 2011 roku konflikt pochłonął już 60 tysięcy ofiar. Ponad pół miliona Syryjczyków uciekło z kraju, szukając schronienia w sąsiedniej Turcji, Libanie, Jordanii i Iraku. Opanowane przez opozycyjną Wolną Armię Syryjską miasta są celem nieustannych bombardowań z ziemi i powietrza. Krajobraz wsi i miast prowincji Idlib jest przygnębiający.



OKIEM REBELIANTÓW

Maciej Moskwa

Szkolenie bojowników Wolnej Armii Syryjskiej. Większość rebeliantów posługuje się lekką bronią: karabinami i granatnikami przeciwpancernymi. Dysproporcja uzbrojenia między stronami jest ogromna. Podczas walk o miasto Kafranbel wozy bojowe były podpalane butelkami z benzyną.



Według Human Right Watch podczas bombardowań miasta Maarat al-Numan użyto bomb kasetowych – pocisków powodujących ogromne zniszczenia.



Bojownicy oddziału „Błyskawica Wolności” w Kafranbel. Rebelianci grupują się w oddziały, *qatiba*, liczące od 20 do 60 zbrojnych, a 5-6 połączonych *qatib* to *lewa*. Oddział w Kafranbel składa się z rewolucjonistów oraz dezertersów z armii syryjskiej.



Od października 2012 roku, za sprawą nieustających bombardowań oraz powtarzających się nalotów sił rządowych, Maarat al-Numan opustoszał. Większość z 60 tysięcy mieszkańców uciekła. Pozostały ruiny i leje po bombach.



Modlący się bojownik Wolnej Armii Syryjskiej to uczestnik walk w rejonie strategicznej bazy Wadi Keif. Leży ona na drodze M5, łączącej Aleppo z Damaszkiem. Zdobycie bazy i odcięcie wojsk rządowych na północy kraju może stać się punktem zwrotnym w kampanii przeciwko armii syryjskiej.



W Maarat al-Numan wciąż słychać salwy z czołgów ostrzeliwujących okolice drogi M5.



Pierwsi szefowie *Poznaj Świat* nie spędzali wiele czasu w redakcji. Wykładali bowiem na wyższych uczelniach i publikowali prace naukowe, dzięki którym nawiązywali ciekawe kontakty zagraniczne. Najłatwiej było otrzymać paszport do tak zwanych demoludów w ramach wymiany bezdewizowej.

GDZIE ZACZYNAJĄ I KONCZĄ SIĘ MAPY

Profesor Stanisław Berezowski, który kierował Katedrą Geografii Ekonomicznej w Szkole Głównej Planowania i Statystyki, specjalizował się w dziedzinie geografii komunikacji. W pewnym momencie pochłonęły go studia nad żegluga po Dunaju, dzięki czemu kilkakrotnie wyjeżdżał do Bułgarii, Rumunii, Czechosłowacji i na Węgry. Dziś, gdy świat stoi dla wszystkich otworem, może rozczulić wstęp do serii jego autorskich reportaży zatytułowanych „Notatnik rumuński”, oddający ducha tamtych, nie tak znowu odległych czasów. Rzec bowiem działa się w 1960 roku.

Świat tuż za ścianą

„Zależało mi bardzo na tym, żeby poznać wreszcie Rumunię, a w szczególności Bukareszt. Jedyna to bowiem stolica państwa socjalistycznego w Europie,

której nie znałem. Nie miałem poprzednio szczęścia do tego miasta. Gdy w roku 1959 przejeżdżałem przez Rumunię do Bułgarii, prawie całe półtorej godziny postoju zajęła mi wymiana czeków na gotówkę w lejach”.

Uwaga dla dzisiejszego czytelnika: chodziło o czeki podróżne, których pewną ilość posiadacz paszportu służbowego, ale chyba również prywatnego, mógł zakupić w Narodowym Banku Polskim za złotówki. Wysokiej rangi uczonemu starczyło wówczas czasu i pieniędzy jedynie na krótkie odwiedziny w muzeum historycznym. Teraz opisywał tydzień w stolicy Rumunii, która rok wcześniej obchodziła swoje 500-lecie. Jako gość uczonych rumuńskich zyskał wreszcie okazję na wszechstronne poznanie i opisanie Bukaresztu oraz innych ciekawych miejsc w tym kraju, którego uroki turystyczne mieli niebawem poznać pierwsi polscy wczasowicze udający się przez Karpaty do kurortów nad Morzem Czarnym. Wielu z nich podróży-

wało z odpowiednimi numerami *Poznaj Świat*, ponieważ nie było wtedy jeszcze polskich przewodników po Rumunii. Mogli m.in. posłużyć się ilustrującym artykułem „Tydzień w Bukareszcie” planem tego miasta. Tak to się zaczynało.

A wkrótce na antypodach

Ale już trzy lata później naczelny redaktor polskiego magazynu zostaje zaproszony do Paryża na polsko-francuskie seminarium geograficzne i dzięki tam nawiązanym kontaktom dwukrotnie wyjeżdża na gościnne wykłady do Kanady. Na tym przykładzie widać, jak szybko zmieniały się możliwości poznawania świata przez współpracowników i autorów pisma, które takie właśnie marzenie zapisało w swojej nazwie. W 1966 roku czytelnicy mogli przeczytać w miesięczniku *Poznaj Świat* relacje z 24 krajów Europy, 19 Azji, 27 Afryki, 6 Ameryki Północnej i Środkowej, 4 Ameryki Południowej, 6 Australii i Oceanii, a także z krajów polarnych. Czyli ze wszystkich kontynentów. W tym z rzeczywiście najdalszych zakątków



Przez większość części roku stację antarctyczną Mirny oddziela od morza wiele kilometrów grubego lodu

roku w Mirnym

główny spotykamy nie rzadko śnieg z wiatrem. Adulci są łowczykami, ciekawo i wesołymi.

Jednak nawet w tej najbardziej zimowej porze roku nie obawa się bez śniegu. Nasza wyprawa miała przeważnie polarny charakter i polegała na sprowadzeniu do obserwatorium. Pierwszą wzmianką o obserwatorium lata było tym razem szczególnie przykre dla nas. Lody nie przyniosły. Widać, że „stacja” zaczęła znowu się lody i nasim „C” na wczesności i wyszedł na chwast wzdłuż drogi do latarni wiodącej na burtę.

7 lutego przeszedł śnieg lod przetrwał w rejonie Mirnego i przez najbliższe 6 tygodni siednie było czyste i słońce, nadawała. Początek zamieszania

Północ lata. Marsz Davida oburza wysoką barierę lodową w sąsiedztwie stacji Mirny



FOT. Z ARCHIWUM AUTOR

VE15

oaz krańców świata – Grenlandii, Wysp Cooka, Nowej Gwineji, kanadyjskiej Wyspy Księcia Edwarda, azjatyckiej Tuwy czy też z Kafiristanu zagubionego w górach Hindukuszu, zamieszkanego przez tajemniczy lud Kalaszów, uznawanych wtedy za potomków żołnierzy Aleksandra Macedońskiego, posługujących się językiem niezrozumiałym dla wszystkich sąsiadów. Pismo dotrzymało słowa. Poprowadziło swoich czytelników na wszystkie kontynenty oraz do miejsc, gdzie kończyły się mapy.

Nie wszystko trafiało na łamy Profesora Berezowski werbował w krajach, które odwiedzał, zagranicznych autorów, którzy swoimi korespondencjami wzbogacali *Poznaj Świat*. Załatwiał przy okazji wyjazdy zagraniczne swoim współpracownikom, którzy wyręczali go na co dzień w redagowaniu magazynu, ale nie mieli tytułów predysponujących do naukowej wymiany zagranicznej. Roman Biesiada odbył wielką podróż po Chinach i Wietnamie. Edward Karłowicz trafił jako jeden z pierwszych polskich dziennikarzy do Albanii, o której napisał książkę „Kraj Orlich Synów”. Kiedy Enver

Hodża wszedł w ostry konflikt ze Związkiem Radzieckim po wznowieniu przez Chruszczowa kontaktów z Jugosławią i skłócił się z innymi krajami demokracji ludowej, które pogodziły się z jego wrogiem, prezydentem Tito, zadał również z Polską. Udzielił azylu politycznego uciekinierowi z Warszawy, twórcy głośnemu komuniście Kazimierzowi Mijałowi, który nadawał z Tirany utrzymane w duchu stalinowskim propagandowe audycje w języku polskim. Karłowiczowi dokuczano wtedy w redakcji: „Co słychać u twoich [tu z n a c z a j e z a w i e s z e n i e

głosu lub nie nadający się do powtórzenia wyraz] „orlich synów”?

Wiem skądinąd, że w Albanii Karłowicz uznany został za dżina. Podczas jednej z wypraw kierowca samochodu, którym podróżował w góry, potrącił na drodze zająca, którego, wbrew protestom polskiego gościa, wrzucił do kufru pojazdu. Po przyjeździe do Tirany otworzył bagażnik, sięgając po walizkę Edwarda. Wtedy zając, który odzyskał przytomność, skoczył na głowę jego albańskiego opiekuna i rozplątał się jak zjawa w mroku nocy. Kierowca z wrażenia zemdłał i więcej z Karłowiczem jeździć nie chciał. Uznał bowiem, że to on zamienił zająca w szejtana.

W Zatoce Białego Niedźwiedzia

Nieco wcześniej działy się na ziemskim globie znacznie ważniejsze wydarzenia. W otwarciu Polski na świat odegrał waż-

nią rolę Międzynarodowy Rok Geofizyczny, w ramach którego na całej naszej planecie prowadzono program współpracy, obejmujący m.in. sejsmologię, geomagnetyzm, oceanologię, meteorologię i grawimetrię. Brało w nim udział 67 krajów, których przedstawiciele pracowali w 1200 stacjach badawczych rozrzuconych po całej Ziemi. 250 z nich znajdowało się na obszarach polarnych i około 100 w pasie międzyzwrotnikowym. W programie tym wzięli czynny udział uczeni polscy. Znaczna grupa geofizyków i geologów prowadziła badania w Wietnamie. Potem nasi geolodzy zaczęli poznawać Mongolię.

Najbardziej aktywni okazali się polarnicy, którzy sławę w badaniach Arktyki zdobywać zaczęli jeszcze przed wojną. W 1957 roku 37 z nich wyruszyło na Spitsbergen, gdzie w okolicach fiordu Hornsund, w Zatoce Białego Niedźwiedzia, założyli stałą polską bazę naukową. Kierownikiem tej ekspedycji był prof. Stanisław Siedlecki, geolog i taternik,



FOT. Z ARCHIWUM AUTOR

Z WIZYTĄ U PLEMENIA DONGGO

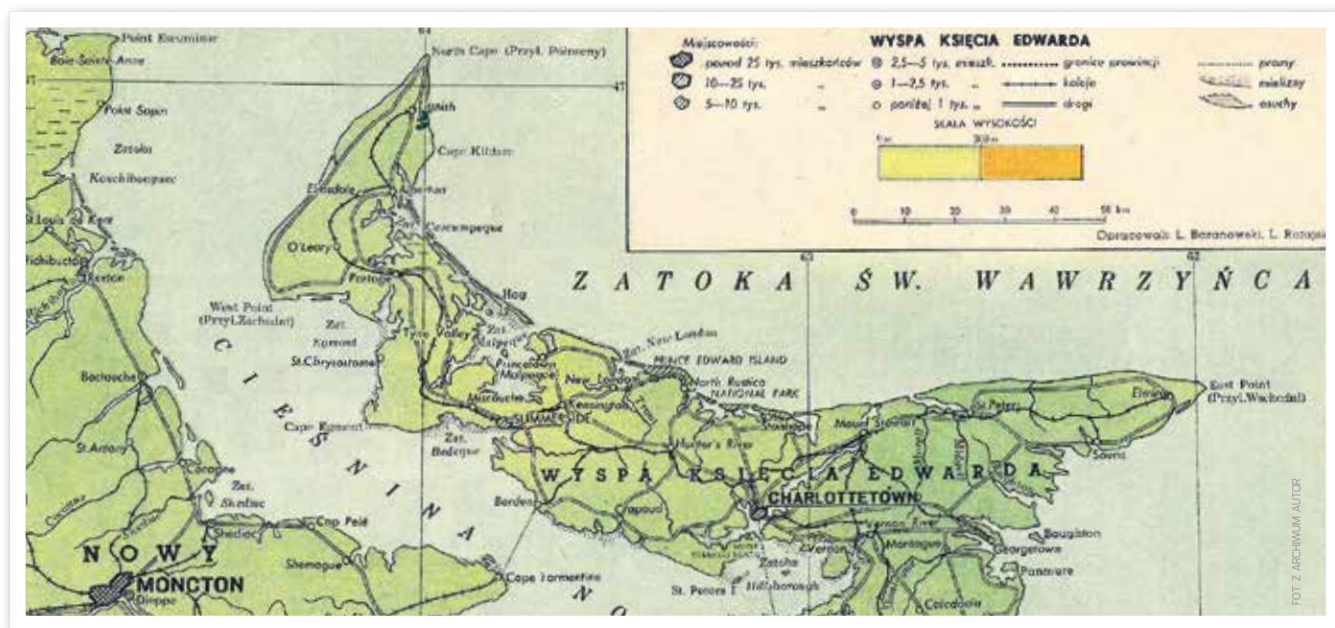
Tytuł i adresy: BALAZS DÉNES (Budapeszt)

ZNAMY ci pewnie plemię Donggo – w południowej części Indonezji. Ciągnie się tam (Indonezja, które tak przetrzymało do dzisiaj) w kierunku południowym. Właścicielem tutaj jest młody człowiek, który wędruje, by go przedłożyć, wędruje tam, gdzie jest najwięcej. Kiedy jest w drodze, wędruje tam, gdzie jest najwięcej. Kiedy jest w drodze, wędruje tam, gdzie jest najwięcej.

Do Donggo wędruje się po drodze. Przechodzący obok siebie wędruje tam, gdzie jest najwięcej. Kiedy jest w drodze, wędruje tam, gdzie jest najwięcej. Kiedy jest w drodze, wędruje tam, gdzie jest najwięcej.

Na Indonezji jest wiele plemion. Wiele z nich jest bardzo ciekawych. Wiele z nich jest bardzo ciekawych. Wiele z nich jest bardzo ciekawych.

mając znakomite stosunki z uczonymi norweskimi. Miałem okazję poznać go osobiście, a po latach spotkać w Longyearbyen, norweskiej stolicy Spitsberge-



nu. Na jednym z sympozjów polarnych podarował mi swoją książkę „Dom pod biegunem”, opisującą tamtą wyprawę, która trwała 14 miesięcy. Przedstawił w niej świetnym piórem świat zupełnie inny niż ten, do którego przywykliśmy w kraju ojczystym. Otrzymałem ją z dedykacją, wyrażającą słowa uznania za popularyzację wiedzy o krajach polarnych i przedstawienie roli Polaków w ich poznawaniu. Przechowuję ją jako jedną ze swych najcenniejszych pamiątek.

14 796 km od kraju

W 1959 r. pod kierownictwem prof. Stefana Różyckiego i inż. Wojciecha Krzemieńskiego udała się na Biały Łąd w południowej części globu Pierwsza Polska Wyprawa Antarktyczna, która przejęła od polarników rosyjskich stację im. Dobrowskiego w Oazie Bungera. Kronikarzami tej wyprawy byli znani pisarze polarnicy Alina i Czesław Centkiewiczowie. Pierwszą własną korespondencję z Antarktydy, pióra Włodzimierza Chełchowskiego, *Poznaj Świat* zamieścił w 1966 roku. Meteorolog Chełchowski był pierwszym Polakiem, który zimował na Antarktydzie (na radzieckiej stacji Mirnyj). Jego relacja zatytułowana była „Pory roku w Mirnym”. Później rozwinął ją w książkę „Rok na Antarktydzie”, opublikowanej przez Instytut Wydawniczy „Nasza Księgarnia”. Zaczął pisać ją po powrocie do kraju. Pierwsze jej zdanie brzmiało:

„Jest 9 sierpnia 1966. Na termometrze za oknem plus 25 stopni. Jak to w Polsce pośrodku lata”. A jak wyglądał ten sam dzień w Mirnym rok wcześniej, w samym środku antarktycznej zimy? Tylko minus 18 stopni, ale ostra zamieć, średnia prędkość wiatru 20, a w porywach do 25 m na sekundę. Trzeba było założyc najcieplejszy z czterech kompletów odzieży podbitej wielbłądzią sierścią, z nogawkami spodni wypuszczonymi na walonki, związanymi dodatkowo w kostkach. Nie sposób było wyjść na zewnątrz bez obwiązania twarzy szalikiem po same oczy i osłonięcia oczu specjalną płytką plexi. Drzwi domku, w którym mieszkał autor miesięcznika *Poznaj Świat*, były z zewnątrz zasypane śniegiem po górną futrynę. Na zewnątrz wychodziło się przez nadbudówkę na dachu, pełniącą funkcję zimowych drzwi zapasowych. Potem zjeżdżało się z dachu na spodniach. W śnieżycy można było łatwo zabłądzić. Między domkami mieszkalnymi a stołówką rozpięte były liny. Pomagały one utrzymać właściwy kierunek. Do prawdziwego domu w kraju było stąd 14 796 km.

Poznani dzięki *Poznaj Świat*

Włodzimierz Chełchowski był pierwszym korespondentem miesięcznika *Poznaj Świat* z Antarktydy. Później dołączyli do niego inni autorzy, między innymi Ryszard Czajkowski, geofizyk, który w latach 1966-67 pracował na

radzieckiej stacji *Mołodożnaja*. Dzięki temu trafił do prowadzonego przeze mnie „Klubu Sześciu Kontynentów”. Podobnie jak Szymon Wdowiak, taternik, alpinista, autor filmów górskich, przyrodniczych i krajoznawczych, fotografik, piszący dla *Poznaj Świat* relacje z wypraw w góry Kaukazu, Pamiru, Himalajów, Ałtaju Mongolskiego, Andów oraz Alaski. Z Czajkowskim spotkałem się na Spitsbergenie, robiąc program filmowy zatytułowany „241 białych niedźwiedzi”. Moim konsultantem był wtedy prof. Jan Szupryczyński z Uniwersytetu Toruńskiego, częsty gość na łamach *Poznaj Świat*. To on zaprosił mnie do Hornsundu.

Szymona Wdowiaka zabrałem w 1976 roku na I Polską Wyprawę Morską do Antarktyki. Nakręciliśmy wspólnie kilka filmów o tej ekspedycji. Potem zarówno Czajkowskiego, jak i Wdowiaka ściągnąłem do pracy w Redakcji Edukacyjnej Telewizji Polskiej. Nie wiem, gdzie kończył fizykę Ryszard Czajkowski. Szymon Wdowiak był wychowankiem wydziału geologii Uniwersytetu Warszawskiego, a więc uczelni, z której w ciągu pięciu minut można było dojść pieszo do redakcji *Poznaj Świat*. Pismo to stało się w latach sześćdziesiątych i późniejszych inspiratorem nowego pokolenia podróżników, umiającego skutecznie łamać spróchniałe bariery polityczne i biurokratyczne tamtych czasów, znajdujące własne sposoby na docieranie do każdego miejsca na kuli ziemskiej, jakie im się zamarzyło. ○



Magazyn
Górski

**outdoor
w Twoich
rękach**



**Newsy · Trekking · Alpinizm · Serwis Skalny
Blok Bulderowy · Panel · Porady sprzętowe
Skatoplany · Wywiady · Reportaże · Testy**

Jedzenie to nieodzowna, a często również jedna z przyjemniejszych stron podróży. Zdarza się, że z egzotycznych wypraw oprócz pamiątek przywozimy także kulinarne przepisy. I choć pewnie w domu żadna potrawa nie będzie smakować tak samo jak tam, w odległych krajach, to jednak próbujemy te smaki odtworzyć. Nie zraża nas nawet brak oryginalnych składników, które twórczo zastępujemy dostępnymi u nas. W końcu, po-

dobnie jak nie ma jednej receptury na bigos czy żurek, nie istnieje też jeden słuszny przepis na lasagne, soliankę czy zupę tom yum.

Gotowi jesteśmy przetestować każdy nadesłany przez Czytelników przepis. Najsmakowitsze opublikujemy na łamach tej rubryki.

Podejmiemy każde kulinarne wyzwanie!

Małże są bardzo popularnym składnikiem dań w wielu miejscach świata, jednak największą popularnością cieszą się w kuchni francuskiej. Te smakowite mięczaki można smażyć, dusić, gotować, wędzić lub jeść na surowo. Ponadto uważane są za afrodyzjaki. Przy zakupie i przyrządzeniu tego specjału należy pamiętać o kilku rzeczach. Surowe małże powinny być szczelnie zamknięte, jeśli przy delikatnym puknięciu któraś się otworzy, oznacza to, że nie nadaje się do spożycia. Przed przyrządzeniem mule trzeba dokładnie wymyć pod bieżącą wodą i usunąć wąsy. Surowe małże należy zalać zimną wodą i odstawić na kilka godzin. Jeżeli podczas smażenia czy gotowania małże się otworzą, oznacza to, że są niejadalne.



FOT. JULIA MICHALCZEWSKA



FOT. JULIA MICHALCZEWSKA



FOT. JULIA MICHALCZEWSKA

ŚWIEŻE MULI

w sosie
śmietanowym
i białym winie

SKŁADNIKI (dla 1 osoby):


czas przygotowania: 30 minut

- 0,5 kg świeżych muli
- 4 małe cebulki szalotki
- 5 łyżek oliwy
- łyżeczka świeżego chilli
- 3 ząbki czosnku
- 2 łyżki masła
- pół szklanki białego wina
- pół szklanki słodkiej śmietany (najlepiej kremówki)
- 3 łyżki natki pietruszki
- pół cytryny
- sól, pieprz

Dania ze świeżych muli będzie można skosztować w każdy weekend kwietnia w restauracji 4 Strony Świata w Gdańsku.

Na patelni rozgrzać oliwę, dodać pokrojoną drobno cebulkę, czosnek i chilli. Gdy składniki zaczną się rumienić, dolać wino. Wrzucić muli i dusić pod przykrywką, aż się otworzą (ok. 5 minut). Następnie zalać całość śmietaną, posypać pietruszką i skropić cytryną.

Całość mieszać jeszcze przez kilka minut, tak aby sos dostał się do muszli. Na koniec dodać masło, posolić i popieprzyć do smaku. Podawać z grzanką z masłem czosnkowym lub świeżą bagietką.



Odkrywanie
nieznanych lądów
jest marzeniem
wielu motocyklistów.
By móc swobodnie
przemierzać
odległe miejsca,
trzeba dysponować
odpowiednim
sprzętem.

Dlatego od
jakiegoś
czasu widać
wyraźny wzrost
zainteresowania
motocyklami
turystycznymi
typu enduro.
Umożliwiają one
pokonywanie
dalekich tras
także z dala od
cywilizacji.

Yamaha postanowiła wyjść naprzeciw oczekiwaniom „moto-marzycieli” i wskrzesiła legendarny model Super Ténéré. Po kilkunastu latach Yamaha zaprojektowała od podstaw zupełnie nowy model łączący cechy różnych maszyn, zapewniając komfort i praktyczność w każdych warunkach. Wszystkie elementy modelu XTZ 1200 Super Ténéré powstały z myślą o stworzeniu turystycznego enduro, łączącego niezawodność i trwałość dakarowych maszyn Yamaha. Lekka i łatwa w prowadzeniu konstrukcja została wyposażona w najnowocześniejsze technologie ułatwiające jazdę także na co dzień. Doskonałym uzupełnieniem tych cech jest specjalne wyposażenie Worldcrosser, które umożliwia bezkompromisową jazdę w terenie odkrywcom, którzy nie ulegają modzie i sięgają po tylko sprawdzone i pewne rozwiązania.

DLA PRAWDZIWEGO PODRÓŻNIKA

Yamaha Super Ténéré Worldcrosser zapewnia pewne prowadzenie na dalekich trasach turystycznych, ale także w trudnych warunkach terenowych dzięki zastosowaniu potężnego, rzędowego silnika dwucylindrowego o pojemności 1199 cm³ z wykorbieniem o 270 stopni. Jednostka dysponuje wysokim i elastycznym momentem obrotowym wynoszącym 114 Nm oraz mocą 110 KM. Umieszczona nisko w ramie jednostka gwarantuje doskonałe prowadzenie i zwrotność nawet przy niskich prędkościach. Duży bak o pojemności 23 litrów jest jednym z najważniejszych elementów motocykla pokonującego duże dystanse. Jeśli do tego dołożymy wygodną pozycję kierującego, możliwość regulacji wysokości siedzenia, pojemne kufrы, wysoką szybę i pakiet osłon, to otrzymamy pojazd sztyty niemal na miarę potrzeb podróżnika.

Motocykl został wyposażony w inteligentny układ hamulcowy Unified Brake System, który dodatkowo wspomagany przez system ABS, zapobiega ewentualnym uślizgom kół. Hamowanie przednią dźwignią daje pełną kontrolę nad każdym z kół. Potężne tarcze z tyłu i z przodu skutecznie zatrzymują pojazd w każdych warunkach. Innym ciekawym rozwiązaniem, które zapewnia spokojną podróż, jest trójstopniowa kontrola trakcji Yamaha Chip-Controlled Throttle (YCC-T). Kierowca ma do dyspozycji także system D-Mode, który umożliwia mapowanie pracy silnika w dwóch trybach Touring oraz Sport.

W NAJTRUDNIEJSZYM TERENIE

Jak przystało na turystyczny motocykl, Yamaha Super Ténéré Worldcrosser ma w pełni regulowane zawieszenie, które z przodu oparto na widelcu upside-down oraz komfortowo ze-strojonym amortyzatorze tylnym, który w prosty sposób można dostosować do jazdy z pasażerem lub ciężkim ładunkiem. Wcześniej wspomniana regulacja wysokości siedzenia odbywa się w zakresie 845-870 mm, co docenią także nieco niżsi podróżnicy. Aby zapewnić właściwe osiągi, nawet w najtrudniejszym terenie, Super Ténéré Worldcrosser wyposażony jest w specjalne nowe panele z włókna węglowego oraz wytrzymałe osłony z aluminium anodowanego. Dodatkowo znajdziemy tu aluminiowe, specjalnie wzmocnione obręcze z masywnymi szprychami do kół bezdętkowych.

Bogata historia, niezawodność i osiągi, jakie oferuje Yamaha XTZ 1200 Super Ténéré Worldcrosser, są cechami, które sprawiają, że model ten zdobędzie serce i duszę każdego motocyklisty-podróżnika. Dpracowany w najdrobniejszych szczegółach, komfortowy i praktyczny – odpowiedni na długie podróże. Motocykl Super Ténéré będzie gotowy na najtrudniejszą przygodę. ○



YAMAHA
XT1200Z
SUPER TÉNÉRÉ
WORLDCROSSER

LEGENDA WIECZNIE ŻYWA

Czas na rower

Lada dzień wyciągniemy ze swoich piwnic, garaży i innych zakamarków swoje rowery. Na początek przegląd, regulacje i drobne naprawy. Potem sprawdzimy resztę sprzętu, czyli odzież, kask, buty. Może okazać się, że czegoś brakuje albo coś należy zmienić. Zapoznajcie się zatem z naszymi propozycjami na ten sezon.

BEZPIECZEŃSTWO PRZEDE WSZYSTKIM UVEX I-VO CC

Kask z przeznaczeniem zarówno MTB, jak i szosowym. Jest bardzo dobrze wentylowany (24 kanały wentylacyjne) oraz lekki (225 g) dzięki technologii INMOULD. Bezpieczeństwo jak zawsze jest dla UVEX'a priorytetem, dlatego kask posiada regulację IAS 3D+MONOMATIC umożliwiającą regulację w obwodzie i głębokości osadzenia kasku na głowie. Dzięki temu kask pozostanie na swoim miejscu mimo oddziaływania gwałtownej siły, a jego sztywna konstrukcja rozproszycie uderzenie na cały obszar głowy, zapobiegając miejscowym urazom.



Cena: ok. 280 zł
www.uvex.com.pl

SPORTOWY I STYLOWY FESTINA CHRONO BIKE MOD. 16599/2

Stylowy i elegancki zegarek ze sportowym zacięciem wyposażony jest w chronograf oraz datownik. Jest wodoszczelny i wykonany ze stali szlachetnej. Ma specjalne opakowanie Tour de France.



Cena: ok. 1400 zł
www.festina.pl

NOWOCZESNA TECHNOLOGIA SHIMANO WHMT66 29"

Koła zgodne z technologią UST dla uniwersalnej jazdy cross country. Profil obręczy o szerokości 24,6 mm (19C). Piaśta z podwójną zapadką optymalizuje trąkcję (szybkie załączanie). Naciąg na dwa krzyże ze szprychami typu straight-pull optymalizuje sztywność skrętną. Posiadają system Center Lock – szybki, prosty, lekki i wydajny sposób mocowania tarczy. Mają klasyczne łożyska Shimano – kulki i stożki – z podwójnym uszczelnieniem. Dostępna jest również wersja ze sztywną tylną osią przelotową E-Thru 12 mm, co zwiększa precyzję zmiany biegów i działania hamulca tarczowego, oraz wersja ze sztywną przednią osią przelotową E-Thru 15 mm minimalizującą odkształcenia widelca.



Cena: od ok. 380
do ok. 480 zł
www.shimano-polska.com

sprawdź ceny

ceneria.pl
outdoorowa porównywarka cen

Cena: ok. 880 zł
www.yeti.com.pl



Cena: skarpetki ok. 50 zł,
podkolanówki ok. 160 zł
www.royalbay.eu

PROFESJONALNA REGENERACJA ROYAL BAY®

Marka wyrobów sportowych oparta jest na 20-letnim doświadczeniu firmy Aries w dziedzinie kompresji medycznej. To produkty o wysokiej jakości kompresji, która poprawi wydajność i znacznie skróci czas regeneracji. Wykonane z mikrofibry, która dobrze odprowadza wilgoć. Antybakteryjny materiał zapewnia komfort w trakcie noszenia. Dedykowane do większości rodzajów sportów, w szczególności dyscyplin biegowych i kolarskich. Korzyści wyrobów kompresyjnych: poprawiają krążenie krwi, a tym samym zwiększają wydajność, przyspieszają wchłanianie kwasu mlekowego, przyspieszając czas regeneracji, stabilizują mięśnie i stawy, zmniejszając ryzyko wystąpienia kontuzji, eliminują obrzęki, chronią nogi podczas podróży – zmniejszają uczucie tzw. „ciężkich nóg”.



WSZECHSTRONNY CAMELBAK OCTANE LR™

To plecak bardzo wszechstronny, zarówno dla rowerzystów, jak i do wszelkich zadań outdoorowych: bieganie na szlakach, spacer, nordic walking itp. Posiada bukłak o pojemności 2l, z technologią HydroGuard (jony srebra) niszczącą w 99,99% wszelkie bakterie i zarazki na jego ściankach. Umiejscowiony jest on w dolnej części plecaka. Podstawowa zaleta takiego układu to obniżenie środka ciężkości całego zestawu, co pozytywnie wpływa na stabilność całości, a także zwiększa możliwości bagażowe (5,5l). Plecak ma również zewnętrzną, rozciągliwą kieszonkę np. na kurtkę.



Cena: ok. 400 zł
www.predman.com.pl

CIEPŁO I WYGODNIE YETI WAVE (WERSJA DAMSKA)

Puchowa nowoczesna kurtka dla aktywnych kobiet. Świetnie sprawdzi się na rowerowej wycieczce i w mieście. Niebywała lekkość przy doskonałych właściwościach termicznych dzięki zastosowaniu puchu 860 cui. Świetnie dopasowany do sylwetki krój wspiera każdy rodzaj ruchu i aktywności fizycznej. Dopracowany w każdym szczególe, ciepły kaptur z wyjątkowym systemem ściągania świetnie trzyma się głowy i podąża za jej ruchem. Wykonana z ultralekkich materiałów: zewnętrzny japoński materiał Mitsubishi z pokryciem DWR (odpychającym wilgoć), wewnętrzny firmy Toray z technologią See it SAFE® wykorzystującą antybakteryjną srebrną nić. Dostępna także w wersji męskiej.



Cena: ok. 300 zł
www.aljot.pl



NIEZAWODNY BION CY-500PC

Bezprzewodowy, wodoszczelny licznik posiada wiele funkcji, m.in. prędkość, czas, czas podróży, średnią i maksymalną prędkość, dystans podróży, całkowity dystans licznika, pomiar zużytych kalorii, datę, temperaturę, aktualną, średnią, maksymalną kadencję. Dzięki bezprzewodowej transmisji danych możliwe jest odczytanie parametrów licznika na komputerze, sensor mierzący obroty koła i mechanizmu korbowego montowany jest na dolnej rurze tylnego widelca.

DOBOROWA PARA MACTRONIC SHOUT & COSMO

Dwie najnowsze lampy od MacTronic tworzą minimalistyczny i funkcjonalny komplet. Model Shout to ładowalna przez USB lampa przednia o mocy 200 lm, dzięki diodzie Cree XT-E R5. Producent zastosował tu pomysłowy system montażu – gumowy pasek z dziurkami, umożliwiającą stabilne przytwierdzenie lampy do kierownicy o dowolnej średnicy. W przypadku Shouta mamy 5 trybów pracy, a maksymalny czas świecenia wynosi 8 godzin. Lampa tylna Cosmo to bardzo ciekawa propozycja ze względu na „kosmiczne” wzornictwo oraz możliwość zamontowania na kilka sposobów (w pionie, poziomie, do sztycy lub bezpośrednio pod siodełkiem). Wyróżnia się zastosowaniem silnego panelu świetlnego LED 35 lm (zamiast diod czy tradycyjnych żarówek). Tu również zasilanie zapewnia wbudowany akumulator ładowany przez USB. Pracująca w 3 trybach lampa tylna MacTronic.



Cena: ok. 4,50 zł
www.nutrend.pl



NABIERZ SIŁ NUTREND CARBOSNACK

Żel energetyczny na bazie szybko przyswajalnych węglowodanów prostych, przeznaczony do błyskawicznego dostarczenia energii. Wzbogacony o taurynę i glicynę, wzmacniające funkcje nerwowo-mięśniowe oraz oddalające zmęczenie psychiczne. Nie zawiera składników mineralnych, które mogłyby spowolnić przyswajalność, umożliwia jednocześnie dowolne łączenie z napojami sportowymi. Polecamy dla poprawy przyswajalności popić minimalnie 100 ml płynów. Smaki: bitter lemon, blue energy, leśna jagoda, karamel, morela, zielone jabłko.

Cena: Shout ok. 170 zł,
Cosmo ok. 110 zł
www.mactronic.com.pl

CANYON ULTIMATE AL 9.0

Cena: ok. 7720 zł.
www.canyon.com



Do

naszej redakcji trafił piękny rower szosowy Canyon Ultimate AL 9.0. Słyszeliśmy o nim już wiele dobrego. Nam przyszło go testować w Hiszpanii podczas obozu treningowego w miejscowości Calpe. Dla wielu kolarzy to jedno z najlepszych miejsc na trening przed sezonem. Dowodem na to byli trenujący tam zawodowcy (m.in. Maja Włoszczowska). Ciekawy rower na profesjonalnych trasach.

Rower zbudowany jest na „prostej” aluminiowej ramie, podwójnie cieniowanej, ważącej około 1200 g. Bez zbędnych udziwnień, a wygląda jak rasowa „szosówka”. Niektórzy uważają, że obecnie „fajny” rower średniej klasy musi być już na karbonie. Nie zgadzamy się z taką opinią. Pozycja na testowanym sprzęcie jest komfortowa. Jeśli chcemy, możemy ją obniżyć. Montując dłuższy mostek (lub obracając), sprawimy, że nasz Ultimate AL 9.0 będzie gotowy do ścigania. Okolica suportu z to-

żyskami press fit jest sztywna i pozwala na gwałtowne przyspieszenia bez strat energii. Cały napęd (oprócz łańcucha) stanowi Shimano Ultegra. W połączeniu z resztą komponentów (koła Mavic Ksyrium Elite S i opony Mavic Yksion Pro) możemy być pewni niezawodnego działania przez kilka sezonów. Oczywiście przy zachowaniu odpowiedniego serwisowania sprzętu. Po pierwszych minutach użytkowania czuć, że producent zadbał o wiele szczegółów, które wspólnie mają duży wpływ na ocenę całego roweru. Warto wspomnieć o wprowadzonych wewnątrz ramy linkach, które są obsługiwane za pomocą manetek opartych o rozwiązania znane z grupy Dura Ace. Rower wyposażony jest również w doskonały widelec One One Four SLX ważący zaledwie 320 gramów. Jak wspominaliśmy na początku, szukaliśmy roweru dla amatora, który przy codziennych przejażdżkach ceni przede wszystkim niezawodność, ale także komfort.

W Ultimate AL 9.0 wygodę zapewnią m.in. rurki podsiodłowe o niewielkim przekroju dobrze pochłaniające nierówności oraz siodło Selle Italia X1.

Kupując Canyon Ultimate AL 9.0, otrzymamy dopracowany sprzęt, który posłuży nam przez wiele lat. Chcieliśmy zaprezentować naszym czytelnikom średniej klasy rower, który nawet dla zaawansowanego amatora jest w pełni wystarczający – zarówno na przejażdżki, jak również do ścigania się. Ważnym kryterium wyboru była cena. A ta w porównaniu z jakością wykonania i klasą osprzętu jest naszym zdaniem rewelacyjna. Wpływ na nią ma z pewnością sposób dystrybucji (bezpośrednia sprzedaż internetowa). Uważamy, że to bardzo dobra propozycja, zarówno z punktu widzenia jakości użytych materiałów, ich odpowiedniego połączenia, jak i bardzo atrakcyjnej ceny.

Grzegorz Miedziński

Specyfikacja techniczna:

- Rama: aluminium 7005, potrójnie cieniowane rury.
- Widelec: Canyon One One Four SLX, karbonowy.
- Stery: Acros Ai-70 Fiber.
- Wspornik kierownicy: Ritchey WCS.
- Kierownica: Ritchey WCS EvoCurve.
- Hamulce: Shimano Ultegra BR-6700.
- Przednia przerzutka: Shimano Ultegra FD-6700, na hak.
- Tylna przerzutka: Shimano Ultegra RD-6700-SS.
- Klamkomanetki: Shimano Ultegra 6700 STI.
- Kasetka: Shimano Ultegra CS-6700, 11-28 z., 10 b.
- Łańcuch: KMC X10.
- Mechanizm korbowy: Shimano Ultegra FC-6750, 50-34 z.
- Suport: Shimano SM-BB6700, PressFit.
- Koła: Mavic Ksyrium Elite S.
- Opony: Mavic Yksion Pro.
- Siodło: Selle Italia X1 Special Edition.
- Wspornik siodła: Canyon VCLS Post.

Testowana wersja z korbą kompakt, kolor biały, rozmiar M (56).

Dystrybutor: Canyon. Masa: 7,7 kg (bez pedałów).



Nowe kadry dla lotnictwa

Na terenie Pola Mokotowskiego funkcjonowało w latach 1910-1939 warszawskie lotnisko. Odbywały się tu pierwsze w Polsce pokazy lotnicze. Tworzono tutaj podstawy naszego lotnictwa wojskowego i przemysłu lotniczego. Powstał aeroklub oraz uruchomiono pierwszą linię lotniczą. Rozgrywano międzynarodowe zawody samolotowe i balonowe. Lotnisko odegrało też dużą rolę w kampanii wrześniowej 1939 roku.

Na zdjęciu: pokaz na lotnisku mokotowskim modeli wykonanych przez szkolną młodzież. Czerwiec 1929 r.





www.poznajswiat.pl



WYSPY GALAPAGOS



ROGALIN



LIVERPOOL

Poznaj Świat

MIESIĘCZNIK

Redaktor naczelny
Dariusz Małkowski
naczelnym@poznaj-swiat.pl · tel. 535 444 980

Zastępca redaktora naczelnego
Katarzyna Rojek
katarzyna.rojek@poznaj-swiat.pl

Sekretarz redakcji
Julia Michalczyńska
redakcja@poznaj-swiat.pl · tel. 535 444 990

Zespół i współpracownicy
Wojciech Albiński, Ryszard Bądowski, Cezary Banasiak,
Józef Baran, Paweł Chara, Maciej Jastrzębski, Michał
Kochańczyk, Marcin Kołpanowicz, Romuald Koperski,
Tomasz Michniewicz, Robert Mazurek, Mirosław
Olszycy, Dariusz Rosiak, Marek Szpendowski

Grafika & DTP & Prepress
Artur Bury

Adres redakcji
80-252 Gdańsk, ul. Jaśkowa Dolina 17
e-mail: redakcja@poznaj-swiat.pl
www.poznaj-swiat.pl

Wydawnictwo
PROBIER sp. z o.o. sp.k.
80-180 Gdańsk, Kowale, ul. Glazurowa 7

Koordynator do spraw wydawniczych
Beata Pernak tel. 583 508 464
www.poznaj-swiat.pl/prenumerata

PRENUMERATA KRAJOWA
numer rachunku 02 1140 1065 0000 2155 8200 1004
posiadacz rachunku PROBIER

PRENUMERATA ZAGRANICZNA
BRE Bank SA, Gdańsk, ul. Wały Jagiellońskie 8
IBAN PL 02 1140 1065 0000 2155 8200 1004
SWIFT BREXPLPWGDA

Jak zamówić prenumeratę?
Zadzwoń i dowiedz się: 583 508 464

 facebook.com/miesiecznikpoznajswiat

Reklama świata
aleksandra.musial@poznaj-swiat.pl
tel. 664 115 333

Reklama outdoorowa i regionalna
grzegorz.miedzinski@poznaj-swiat.pl
tel. 501 641 706

Reklama agencyjna
Active V Media Sp. z o.o.
biuro@avm.net.pl
tel. 22 620-04-77

Materiałów niezamówionych redakcja nie zwraca.
Zastrzega sobie prawo do zmian tytułów, opracowania
redakcyjnego tekstów oraz graficznej korekty zdjęć.
Redakcja nie odpowiada za treść zamieszczanych reklam
i ogłoszeń. Opinie zawarte w artykułach są osobistymi
przekonaniami ich autorów.

Co miesiąc prawdziwe GÓRskie pismo

GÓRY górski
magazyn
sportowy

a codziennie

GÓRYONLINE.COM
PORTAL GÓRSKIEGO MAGAZYNU SPORTOWEGO

NOWOŚCI WYDAWNICZE

RYSZARD PAWŁOWSKI: 40 LAT W GÓRACH

Wywiad-rzeka z jednym z najbardziej
znanych polskich himalaistów!

100 PORAD GÓR TOM 2

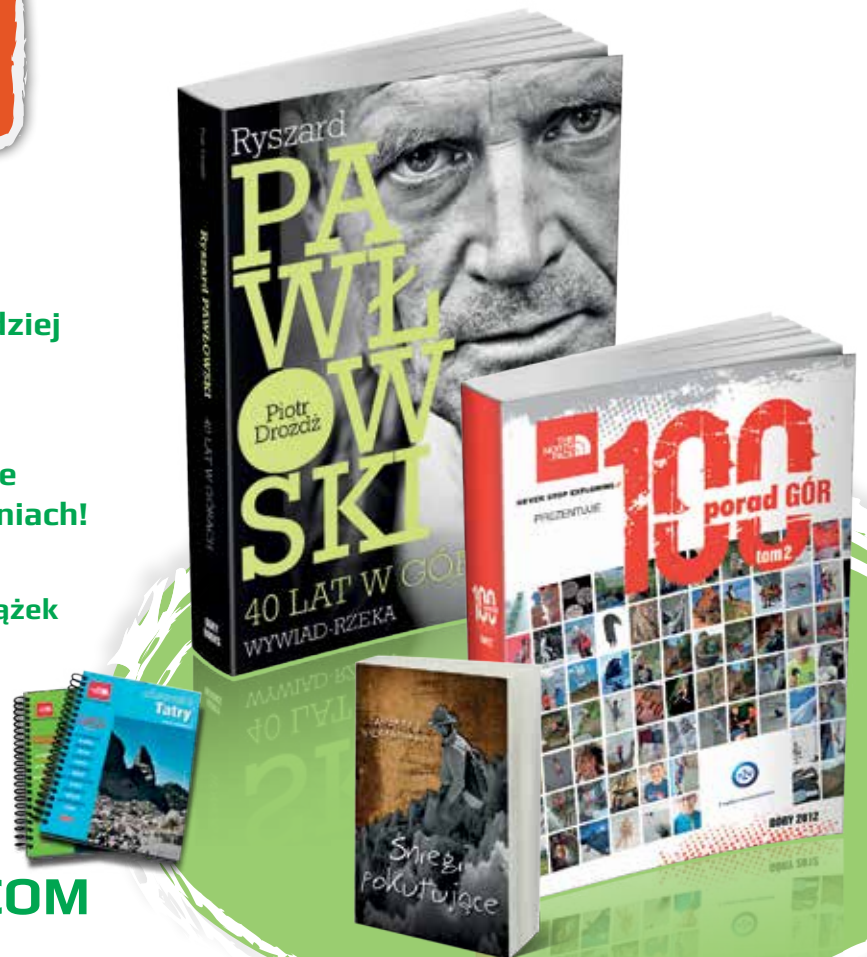
Po sukcesie I tomu czas na kolejne
50 porad – już w dobrych księgarniach!

ŚNIEGI POKUTUJĄCE

Jedna z najstynniejszych polskich książek
wyprawowych – już w sprzedaży!

zapraszamy do naszej
redakcyjnej księgarni:

SKLEP.GORYONLINE.COM



Poznaj świat



XT1200Z World Crosser
www.yamaha-motor.pl

